Nr. 37 (1133). Warszawa, dnia 31 Sierpnia (13 Września) 1902 r. Rok XXII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50**, rocznie rb. **10**.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Szan. Abonentom kwartalnym przypominamy nadchodzący termin przedpłaty.

POLITYKA.

Cesarz Wilhelm w Poznaniu.

Zapowiadane wielkie święto poznańskie szczęśliwie już minęło — szczęśliwie, bo biurokracya miejscowa, mająca w swej przeszłości takich Bacrensprungów z lat 1858—60, mogła była skorzystać z poduszczeń prasy gadzinowej berlińskiej i poznańskiej i wywołać jakieś usiłowanie czynu, któreby samo przez się musiało zgotować całej dzielnicy wielkopolskiej nieszczęście. Cesarz wraz z małżonką swoją wjechał do Poznania dnia 2 b. m. wieczorem o 6-ej, z zupełnym spokojem, zakłóconym tylko przez okrzyki publiczności, która była taką, jaką cesarz niemiecki mieć powinien — niemiecką. U dawnej bramy berlińskiej powitał go nadburmistrz Witting, ten sam, który d. 12 czerwca w Izbie panów gardłował za funduszem kolonizacyjnym, ale jednocześnie zbijał niedorzeczne z treści, niegodziwe z celów oskarżenia Polaków w W. Ks. Poznańskiem o dążności rewolucyjne. Z burmistrzowskiego swego stanowiska p. Witting, powołany do krasomówstwa, nie powinien był wychodzić za rogatki poznańskie; ale Prusak w nim powalił burmistrza. Ocenzurowano mu mowę w samym Berlinie i wyrzucono z niej wiele, zostawiono przecież jedno, co mogło starczyć za wszystko. Mowę swą nadburmistrz zakończył wezwaniem: „Niechaj dziś z każdej piersi wyrwie się okrzyk: Jestem i chcę pozostać Prusakiem." Z każdej, więc i z polskiej: polityka na ostre.

Cesarz nie stanął burmistrzowi do duetu. Widział w nim tylko municypała, a nie patryotę — przypomniał też swe odwiedziny z r. 1889 — i pomknął dalej. Stanął w komendanturze. Tam przyjął znakomitości, pomiędzy innymi arcybiskupa Stablewskiego i biskupa Likowskiego. Dzień następny zajęty miał paradą i obiadem po paradzie, z umyślnie ułożonymi a przesadnie braterstwo broni z Rosyą sławiącymi toastami, w wyraźnym celu najpierw przypochlebienia się Rosyi, a potem ukłócia Francyi. D. 4 b. m. odbyła się główna uroczystość cywilna: odsłonienie pomnika Fryderyka III-go. Po odsłonieniu tradycyjny Weinschoppen — złota jagoda reńska, w gmachu stanów prowincyonalnych. Marszałek Willamowitz-Möllendorf miał jakąś mowę powitalną, której nigdzie znaleźć nie można, wiadomo tylko, że były w niej „słowa patryotyczne." Na tę mowę cesarz wystąpił już z wielkim manifestem, którego zapowiedź, łącznie z pogłoskami o jakichś knowaniach polskich, pościągała do Poznania korespondentów wielkich dzienników europejskich, jak *Times*, *Temps*, *Indépendance Belge*. Z manifestem cesarskim stał się dziwny humbug. Delegaci specyalni i telegrafiści prywatni z tekstu mowy, z ponurego spiżu wytopili rozkoszne złoto. Kto był pierwszym sprawcą tego fałszerstwa, dociekać będzie kiedyś historya tej mowy cesarskiej w Poznaniu. Ona też powie, ile było w pierwiastkowych zachwytach samorodnej lekkomyślności, a ile wody zaczerpniętej z najpospolitszej u nas krynicy mądrości, z *Neue Freie Presse*, która umiała w wielkiej sali stanów prowincyonalnych dostrzedz, nie rzuconą rękawicę, ale wyciągniętą do zgody rękę.

Oto jak wygląda złoto tego płytkiego dziennikarstwa: Cesarz, znajdując się w Poznaniu, znajduje się w wiernem mieście niemieckiem, wierną też niemiectwu jest praca podjęta przez Niemców w celu podniesienia kraju. *Zum Nutz und Frommen*— tego przetłomaczyć niepodobna — tej pracy Niemcy powinni się wyrzec waśni stronniczych — rzecz prosta, przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi. Niech każdy czyni ze swego *ja* ofiarę. Tak niegdyś postępowali wielcy rycerze zakonu niemieckiego — nawrot do Malborga — kiedy wśród twardego znoju szerzyli kulturę niemiecką.

Takim ma być lud niemiecki prowincyi Poznańskiej, w politycznem znaczeniu. Urzędnicy zaś w Poznańskiem powinni bez wahania się *przeprowadzać politykę*, którą cesarz za dobrą dla prowincyi uznał.

Współdziałanie takiego ludu z takimi urzędnikami doprowadzi w biegu lat do „obfitującego w błogosławieństwa boskie wzrostu prowincyi." Tu cesarz przechodzi do Polaków, ale ich tylko „pewną częścią poddanych swoich nie-niemieckiego szczepu" nazywa. Głęboko „ubolewa" nad tem, że się w stosunki pruskie z trudem tylko wdrażają. Jest to skutkiem dwóch błędów. Dostojny mówca za jeden z nich uważa obawę o katolicyzm. Obawa to płonna. Nie utrudnia się przecież w Prusach obowiązków religijnych, ani nie zmusza się nikogo do porzucenia wiary. Kto inaczej twierdzi, ten jest w błędzie. Cesarz wysoce poważa religię jako stosunek osobisty każdego człowieka do Boga. Powiedział to przecież w Akwizgranie. Takie twierdzenia obrażają go jako następcę wielkiego króla, który (w ślicznej swojej niemczyźnie) wyrzekł

był: „każdy może na swój fason (*nach seiner Façon*) być zbawionym.“ Ten „fason“ Fryderyka II dorzyna do reszty cały ten ustęp natchniony przez sofistykę.

Cesarz mówi o stosunku osobistym człowieka do Boga — i ten poważa; wie przecież, że „pewnej części poddanych nie-niemieckiego szczepu“ chodzi o stosunek nie osobisty, ale społecznie wyrażający się, o kult pozytywny, o możność spełniania obowiązków religijnych przez społeczeństwo, nie przez jednostkę. Pod tym względem Wrześnią już rozstrzygnęła, kto trwa uporczywie w błędzie, a kto obstaje tylko przy swem prawie. Drugim błędem Polaków ma być obawa o odrębności szczepowe i właściwości przekazane przez przeszłość (*Ueberlieferungen*). „Królestwo pruskie składa się z wielu szczepów; są one dumne z dawnej historyi swojej i ze swej odrębności. Nie przeszkadza im to jednak wcale być dzielnymi Prusakami. Tak powinno być i tutaj.“ Tradycye i wspomnienia należą tylko do przeszłości, do historyi. „Pewnej części poddanych“ pozostaje zatem tylko wynarodowienie. To jest hasło mowy, to owoc pracy wspólnej ludu niemieckiego i urzędników niemieckich w Poznańskiem. Dostojnemu mówcy nie wystarcza ideał polityczny pruski, kwasem pruskim swej narodowości chce on przeżreć samą istotę. I tu znowu postawić potrzeba pytanie: kto błądzi: czy ci, co obawiają się o swe odrębności szczepowe, stanowiące właśnie ich istotę, czy ci, którzy wyrzucają je z życia i zachowywują tylko w pamięci? Los Altenburczyków, mających jeszcze własne swoje stroje, zwyczaje, obrządki epoki słowiańskiej, ma być losem radośnie witanym i wdzięcznie opłacanym przez pruski patryotyzm Polaków. Pomiędzy takiem poszanowaniem „odrębności“ a hartmanowskiem „Ausrotten“ niema różnicy. Mowa poznańska zamiast oznaczać cofanie się od malborskiej z d. 5 czerwca, przeciwnie, rozprowadza ją w pewien systemat doktryn, jest jej uzupełnieniem, koroną. Co tam stosowało się do Polaków po za granicami Niemiec, do Słowian nawet z Niemcami walczących, to tutaj odzywa się jako ton zasadniczy dla Niemców do walki z Polakami w Prusach. I nietylko Malborg stwierdzony na nowo, ale Hakata wzięta w apoteozę. Wytępienie polskości staje się urzędownie wspólnym państwa pruskiego i hakatystów celem. Taki jest duch tej mowy dla każdego człowieka, umiejącego słuchać, myśleć i rozumieć.

Rozwój idei imperyalistycznej w Anglii.

Wyznaję szczerze, iż aneksya gazu i wody przez gminę naszą przyjmuje serce moje większą dumą, niż rezultaty polityki imperyalistycznej, której zawdzięczamy podbój Transwalu i Cypru. Uważam za większe szczęście, że walczyłem ramię przy ramieniu razem z wami przeciwko chorobie, ciemnocie i zbrodni w tem mieście, niż gdybym był sprawcą wojny przeciwko Zulusom lub napadu na Afganistan.“ Tak przemawiał w 1880 r. w radzie miejskiej burmistrz Birminghamu, oklaskiwany burzliwie przez ojców miasta. A poklask ten był szczery i zasłużony. Burmistrz bowiem podczas swego krótkiego urzędowania dokonał, pomimo krzyku kapitalistów, komunalizacyi oświetlenia gazowego i kanalizacyi, zburzył „slumsy“ i przebudował je w tak świetny sposób na mieszkania dla ubogiej ludności, iż statystyka już po upływie kilku lat wykazywała zmniejszenie się chorób i zbrodniczości, dalej przystąpił do wprowadzenia t. zw. systemu Gotenborskiego, na mocy którego sprawa wyszynku podług modły reformowanej przechodziła do gminy, i wreszcie wypowiedział wojnę tolerowanym urzędowo domom publicznym. A temu radykalnemu reformatorowi społecznemu było na imię — o ironio! — Joë Chamberlain! Ten sam skromny działacz, który przed dwudziestu laty uważał odrodzenie fizyczne i moralne kilkudziesięciu tysięcy ludzi na zasadach społecznych za czyn bardziej chwalebny, niż walkę brutalną z garstką dzikusów lub ubogich kolonistów, dziś został pogromcą i katem Boerów, duszą i Mahometem imperyalizmu, organizatorem „Większej Brytanii,“ bożyszczem i zbawcą, a zarazem zniepraw iaczem i trucicielem szowinistycznej Anglii. Zbroczonemi we krwi rękoma ujmuje on dziś ster, aby prowadzić nawę wielko-brytańską ku tryumfom i podbojom wszechświatowym pod znakiem imperyalizmu. Z tej racyi chcielibyśmy dzisiaj, pomimo iż zaznaczyliśmy w swoim czasie na łamach *Prawdy* związek, zachodzący pomiędzy imperyalizmem a stanem ekonomicznym Anglii — dać rzut oka na rozwój tej idei, oraz postępy, jakie uczyniła w ostatnich czasach.

Ideologowie tak zwanej szkoły wolnego handlu głosili przyrodzone prawo każdej narodowości, niezależnie od poziomu jej cywilizacyi, do zupełnej wolności. Panowanie jednego społeczeństwa nad drugiem uważano za pierworodny grzech moralny i zasadniczy błąd polityczny. „Jestem i byłem zawsze tego zdania — oświadczył szerzyciel wolnego handlu, Cobden, podczas powstania indyjskiego — żeśmy się podjęli czegoś niemożliwego, chcąc rządzić setkami milionów Azyatów. Będzie to najpiękniejszy dzień w dziejach Anglii, kiedy straci ona ostatnią piędź ziemi na lądzie azyatyckim.“ Społeczeństwo oklaskiwało niby te słowa, może i bardzo zacne, ministrowie potakiwali głowami, ale nie ważono się wysnuć z nich należytych wniosków praktycznych. Nadano, co prawda, autonomię Kanadzie, a przekonawszy się o doskonałych wynikach tej zmiany, rozciągnięto ją na stany australskie, Nową Zelandyę, Kapsztadt i Neufoundland. Co więcej, nie rozszerzano zdobytego raz obszaru kolonialnego, nie dokonywano dalszych podbojów gwałtem i podstępem, z czego nawiasem mówiąc, skorzystał Bismarck w Afryce, ale też nie oświadczono koloniom pewnego pięknego poranku: „W imię Adama Smitha i jego wielkich i małych epigonów bądźcie wolne!“ Dzierżący władzę, znając duszę narodu angielskiego, przeczuwali wbrew otaczającym ją tumanom frazeologicznym, iż na dnie jej drzemią marzenia o wielkości i sławie politycznej. Pierwszym, który ukrywanym dyskretnie widziadłom i tęsknotom chciał nadać ciało rzeczywistości, był lord Beaconsfield. On też uchodzić może za rodzonego ojca imperyalizmu angielskiego.

Nie dla handlu, nie dla korzyści ekonomicznych miała Anglia, według niego, opasać kulę ziemską obręczą swych wpływów, ale dla sławy i potęgi politycznej. Dopiero gdy rozeprze się w Azyi, gdy królowa angielska włoży na głowę koronę idyjską, gdy Persya i Afganistan pozostaną jej lennikami, a Arabowie jej sprzymierzeńcami, gdy Cypr i Egipt będą wcielone do jej posiadłości, dopiero wtedy będzie ona mogła zaimponować światu i podyktować mu prawa. W ciągu sześciu miesięcy plan ten został niemal w całości wykonany, a nawet rozszerzony. W 1874 r. wyspy Fidżyjskie w Australii ogłoszono za prawowitą własność angielską; wbrew protestom gminy wolnego handlu w 1875 r. zakupił Disraeli 177,000 akcyj kanału Sueskiego od khedywa egipskiego i w ten sposób utorował drogę dla Anglii do wybrzeży Nilu; w 1876 r. królowa angielska otrzymuje tytuł cesa-

---

Andrzej Niemojewski.

METAFIZYK.

(Dokończenie).

Przez kilka dni następnych Kropiwnicki stracił wszelką ochotę do życia. Na szczęście o samobójstwie nie słyszał. Odnośnego ustępu z „Dziadów“ nie zrozumiał. Inaczej bowiem byłby może popełnił jakie szaleństwo. Ale odłączył się od kolegów, nie brał udziału w zabawach; czytał, dumał, rozmyślał, snuł obrazy i nieraz godzinami całemi wsłuchiwał się w te głosy, które w jego wyobraźni grzmiały. Nikt się nim w dalszym ciągu nie zajmował, nikt mu nie przeszkadzał. Profesorowie wyrywali go od czasu do czasu, zapisywali stopnie i na tem koniec. Miał opinię dobrego, cichego ucznia, który nie sprawia żadnego kłopotu.

Teraz za to wykonał swój zamiar dawniej powzięty i wybrał się późnym wieczorem na cmentarz. Na stancyi nie zauważono jego nieobecności, ponieważ już było po wieczerzy. Poczciwa pani Buczalska siedziała już oddawna w swoim pokoju, ziewając raz po raz i wołając tylko od czasu do czasu: „a spać tam, zbereźniki,“ skoro posłyszała dudnienie bosych nóg po podłodze i przytłumione piski. Kazio minął bramę cmentarną, niepostrzeżony przez nikogo. Co się tam z nim przez tę noc działo, tego nikt nie wie, dość, że go rano stary grabarz znalazł na jakimś grobie zemdlonego. Bryznął mu w twarz z konewki, chłopak oprzytomniał, wybełkotał kilka słów i wyrwał się grabarzowi, który długo jeszcze za nim zrzędził, wymyślając mu od nieponiów, gałganów i innych nietyle groźnych, ile nie dających się powtórzyć tytułów.

Ale ta bytność na cmentarzu musiała jakiś wpływ wywrzeć na chłopca, bo odtąd zmienił tryb życia. Większą część wolnego czasu spędzał na czytaniu, a resztę na wędrówkach za miastem, na zbieraniu roślin i różnych kamyków, grudek ziemi, co potem porządkował, systematycznie w stoliku układał i rozmaitemi napisami zaopatrywał. Ale na nieszczęście zdarzyła się owa historya z metafizyką. Ogół kolegów zwrócił na niego uwagę. Stał się znakomitem popychadłem, doskonałym celem dla pocisków, narzędziem gimnastycznem, na którem każdy wyrabiał sobie siłę, głazikiem, na którym każdy ostrzył sobie język. Nie było dnia, żeby się nad nim zbiorowo nie pastwiono. Chłopak nie poskarżył się nikomu. Pani Buczalska dowiedziała się wprawdzie o tych prześladowaniach, ale miała w tym kierunku specyalne poglądy pedagogiczne. Chłopak, powiadała, musi sam pokazać zęby, inaczej nic z niego nie będzie.

Kazio posłyszał to przypadkiem. Posłyszał i zastanowiło go to. Długo się nad tem głowił, jakby tu „pokazać zęby,“ ale nie mógł wpaść na żaden pomysł. Aż zaszła okoliczność następująca.

Dom, w którym się mieściła stancya pa-

rzowej Indyj; w 1877 r. komisarz angielski wdziera się do Transwalu za garstką policemen'ów i ogłasza go z terytoryum angielskie; w 1878 r. zostały pokrzyżowane plany Rosyi na półwyspie Bałkańskim i obalono w Afganistanie wrogą Anglikom dynastyę, a w 1879 r. podbito nareszcie, po długich usiłowaniach i kilkakrotnych porażkach Anglików, plemiona Kafrów. Gdy w 1880 r. premier-romantyk ustąpił ze swego urzędu, pozostawił Anglii w puściznie ideę imperyum wszechświatowego, a zarazem plan utworzenia w Afryce południowej, pod protektoratem Albionu, związku państw afrykańskich, plan, którego urzeczywistnienia musiał się wyrzec sam Beaconsfield. Jakkolwiek w 1880 r. lud angielski oświadczył się przeciw polityce zaborów i wszechwścibstwa, gdyż koszty jej spowodowały zwyżkę podatku dochodowego, jakkolwiek słowo „imperyalizm“ miało jeszcze w ustach Anglika odcień humorystyczny, to jednak pieśni wojenne, zanucone przez Beaconsfielda, utkwiły głęboko w duszy narodu i rozpaliły jego wyobraźnię. Po upływie kilku lat miraże, zrodzone we wschodniej fantazyi Disraelego, przybierają kształty wyraźniejsze. Wyłania się plan związku imperyalistycznego, ale na podstawach nieco odmiennych.

Gdy Anglia, czyniąc zadość marzycielom *free trade*'u, wyzwoliła i usamowolniła politycznie swe córy kolonialne, to kierowała się w głębi ducha nadzieją, iż na mocy danego im przez matkę dobrego wychowania, dzieci pozostaną wierne tradycyom wolnego handlu. W tym razie metropolia nie straciłaby nic, gdyż jej przewaga na polu techniki i przemysłu zapewniała jej nadal w koloniach stanowisko uprzywilejowane. Panując dalej wszechwładnie na rynku kolonialnym, uchodziłaby jednocześnie za matronę dobroczynną, wspaniałomyślną i postępową. Ale stało się inaczej. Dzieci, niepomne zaszczepionych im niegdyś rad wolnohandlowych, zaledwie wydostawszy się z pod skrzydeł matczynych, otoczyły się odrazu baryerami celnemi. W ten sposób zatrzasnęły swej matce drzwi przed nosem, aby zagarnąć rynek krajowy dla przemysłu własnego, a oprócz tego wybrnąć z kłopotów finansowych, które odrazu się na nie zwaliły. Anglia oczywiście wyrywała sobie siwe włosy z głowy na widok tej niewdzięczności, a co gorsza porzucenia lekką ręką tradycyj wolnego handlu. Stan ten wszakże nie trwał długo.

Właśnie w tym samym czasie, około r. 1883, zaczynają wyrastać na rozmaitych punktach rynku wszechświatowego nowi współzawodnicy. Z początku Anglicy, powołani przez przyrodę i historyę do panowania nad światem, wzruszali pogardliwie ramionami na widok tych zarozumialców samozwańczych, a z pewnością i nadal nie zwracaliby na nich uwagi, gdyby bilans handlowy, który od lat 25 szedł stale w górę, odrazu nie zaczął był regularnie spadać. Gdy w 1883 r. wywóz angielski wynosił jeszcze 288 mil. funtów sterl., już od r. 1884 zniża się stopniowo, aby w 1888 r. spaść do 283 mil. Anglię ogarnia rozpacz, a zarazem do serca jej zakradają się pierwsze wątpliwości. Wiara w zbawienność wolnego handlu zaczyna pierzchać, gdy państwa, które niegdyś nie dorastały jej do kolan, idą z nią teraz w zawody i z postawionej przed nią sutej porcyi zgarniają bezczelnie najsmaczniejsze kąski. Niechaj przepadnie cały wolny handel — pomyślała Anglia — kiedy trzeba będzie umierać dla niego z głodu.

Jednocześnie w usposobieniu kolonij zaszedł również zwrot poważny. Przemysł przetwórczy, krzewiony w cieplarni protekcyonizmu, rozkwitł zaledwie słabo, ceny zaś zboża, mięsa i wytworów zwierzęcych, wywożonych na rynek wszechświatowy, uległy fatalnej zniżce. Wtedy to kolonie uczuły tęsknotę do metropolii. Dano do zrozumienia, że jeśli Anglia, pozbywszy się doktrynerstwa wolnohandlowego, nałoży cła na artykuły rolnicze, ale uwolni je od opłaty, o ile będą pochodziły z kolonij, wtedy dla rodziny Wielko-Brytańskiej nastaną szczęśliwe czasy braterstwa i zgody. Ciekawa rzecz, iż pierwszy wyraźny projekt w tej mierze powstał w Afryce południowej. Hofmeyr, prezydent Związku Afrykanderów, opracował w 1887 r. na większą skalę plan sklecenia rozpadającej się budowy *British Empire*'u. Imperyalizm wchodzi teraz w drugą fazę rozwoju, gdyż z pogoni romantycznej za podbojami i awanturami zamorskiemi przeistacza się w projekt spółki finansowo-handlowej. Metropolia i kolonia zawiązują stosunki ściślejsze dla wzajemnej eksploatacyi swych rynków. Charakter polityczny ma imperyalizm o tyle, iż dochody, płynące ze zwyżki ceł ochronnych, zarówno w Anglii, jak koloniach, mają być obrócone na utrzymanie floty, która, niby groźny Cerber, będzie pilnowała wejścia do wielko-brytańskiego terytoryum rynkowego.

Widzieliśmy wyżej, iż ten nowy nastrój imperyalistyczny wytwarza się w okresie po r. 1880, pod wrażeniem pogorszenia się bilansu handlowego. Aureola ideałów wolnego handlu przyćmiewa się. Praktyczne potrzeby businessu występują na plan pierwszy. Ale idealista Gladstone, który w 1880 r. objął był władzę po Beaconsfieldzie, nie spostrzega zmiany dokonanej i nie pojmuje nowego prądu. Przeciwnie, teraz, kiedy w łonie Anglii i kolonij kiełkują dążności centralistyczne, on, wpatrzony w tradycyę polityki wolnohandlowej, pracuje nad nadaniem Irlandyi *Home-Rule*'u. Biedny, wyzyskiwany kopciuszek ma otrzymać to, co uzyskały już dawno kolonie — możliwie szeroką autonomię. I oto cała Anglia, zarówno zachowawcy, jak wielka część zastępu liberalnego (przeciwko Gladstonowi głosowało aż 94 członków jego własnego stronnictwa) powstaje przeciwko naiwnemu idealiście w 1886 r. Dowództwo nad secesyą liberalną obejmuje były radykalno-socyalistyczny burmistrz Birminghamu, Chamberlain, przyszły mąż opatrznościowy Anglii. On to tchnął w imperyalizm duszę teoretyczną, wyrzekłszy magiczne słowo, od którego drgnęły miliony serc angielskich. A słowo to brzmiało: „handel.“ „Czyż nie dowodzi nam historya — wołał były radykalny burmistrz Birminghamu — że żaden naród nie stał się prawdziwie wielkim bez handlu i że wielkość żadnego narodu nie przeżyła upadku jego handlu.“ Wolnościowe idee Ad. Smitha i Cobdena idą w niepamięć i uchodzą za wspomnienia z lat naiwności narodowej. Chamberlain opracowuje plan wielko-brytańskiego związku celnego. Konferencya ministrów kolonialnych w 1897 r., pod przewodnictwem Chamberlaina, roztrząsa projekt ten, a w 1898 r. Kanada zaprowadza pierwsze ulgi celne dla towarów angielskich, pomimo protestu Niemiec. Tylko Chamberlainowski pomysł wszechbrytańskiej Rady Związkowej doznał bardzo chłodnego przyjęcia wśród ministrów kolonialnych.

Tymczasem na innym punkcie kuli ziemskiej inny mąż, kupiec z krwi i kości, niezrównany organizator i odważny *conquistadore*, pracuje również gorliwie w winnicy imperyalizmu. Był to głośny Cecil Rhodes. W 1881 r. Gladstone oświadczył uroczyście przed całym światem, iż Anglia przywłaszczyła sobie bezprawnie terytoryum Boerów. Odtąd niechaj Boerowie rządzą się sami. Krok ten nie sprawił żadnego zgoła wrażenia w Anglii, gdyż uważano Transwal za kraj ubogi. Gdy jednak wkrótce popłynęły stamtąd potoki złota, szczery żal ścisnął serce Albionu. Jednocześnie Niemcy wolno, niepostrzeżenie i bez hałasu zaczęli rozsiadać się po Afryce. I oto powstał mąż, który połączył wszystkich Afrykanderów dla walki z obcymi—pod protektoratem Anglii. Wszyscy biali Afryki mieli utworzyć jeden związek obronny pod opieką angielską. Cecil Rhodes dokonał w przeciągu kilku lat cudów, które rozniosły sławę jego imienia po całym świecie, a Anglię uczyniły panią niezmierzonych obszarów afrykańskich. Tylko Transwal stawia opór anglofilskim planom

---

ni Buczalskiej, stał tuż nad Drwęcą, która rwącym prądem przebiegała przez miasto, wijąc się esami. Był przez nią przerzucony most o łagodnym łuku i takichże poręczach. Na tym moście zbierali się nieraz uczniowie, aby się przypatrywać rybakom, którzy wzdłuż brzegów wystawali, łowiąc ryby na wędkę. Rzeka nie była w tem miejscu głęboka, a pod samym mostem wystawały z niej jakieś ostre głazy. Miała jednak strome a wysokie brzegi, a z łukowego mostu był nawet na rwący prąd widok dość zawrotny.

Jaś Zabijak wykładał naturalnie kolegom, jak się to łowi na wędkę węgorze, szczupaki; wykładał także, jak się to pływa, jak się skacze do wody na głowę; a ponieważ bawił w mieście niedawno linoskoczek, więc wykładał im także, jak się to chodzi po linie. Wtedy któryś z kolegów rzekł: zamiast żebyś gadał, to lepiej pokaż — i uderzył dłonią o poręcz mostu. Zabijak naturalnie zwymyślał go i wytłomaczył dowodnie, że daleko łatwiej przejść po linie, niż po takiej poręczy, zwłaszcza jeżeli się nie ma balansu. W oknie drugiego piętra siedziała jak zwykle pani Buczalska, robiąc pończochę i poglądając niekiedy to na uczniów, to na rybaków.

Kazia uderzyły słowa Zabijaka. Przybladł nieco i począł gryźć paznokcie. Widać było, że coś szybko rozważa. Potem odbiło się w twarzy postanowienie. Nic do nikogo nie mówiąc, zbliżył się do końca mostu, stanął na poręczy, rozchylił ręce i począł kroczyć naprzód wolno, miarowo.

Z początku nie zauważono nawet tego. Szedł jeszcze nad ziemią. Nagle któryś z chłopców ukazał na niego ręką. Wtedy cała gromada rzuciła się ku niemu z urąganiem.

— Weryet, weryet!

Kazio nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Szedł dalej krok za krokiem.

— Metafizyk! — zawrzało dokoła.

Śmiech i gwizdanie towarzyszyły temu okrzykowi. Jaś Zabijak przystąpił do poręczy i rzekł.

— Słuchaj ty, metafizyk, złaź zaraz!

Kazio stąpał dalej patrząc pilnie po linii poręczy. Zabijak mówił dalej:

— Metafizyk, złaź, bo cię pchnę szyszysz? Patrz, wyciągam rękę, raz, dwa i —

W tej chwili pod Kaziem brzeg się skończył i ukazała się rzeka. Zabijak idąc za nim trzymał wciąż dłoń w pogotowiu do pchnięcia, ale wtedy któryś z uczniów zawołał:

— Daj mu pokój, bo zleci doprawdy!

Ale inni poczęli wołać:

— Oho, metafizyk „pokazuje zęby!“

— Spławić go!

— Zabijak, pchnij!

— Pchnij ty!

— Metafizyk, zleciesz!

— Już się chwiejesz, rymniesz!

— Rrrrym — zaraz będzie!

Kazio minął już jedną trzecią drogi. Pod nim wiła się rzeka w całej pełni, tworząc na powierzchni wzory ustawicznie zmieniające się. Strach było w dół spojrzeć. Chłopak szedł spokojnie, równo, uważnie, w twarzy jego widać było tylko jeden wyraz: poważne skupienie.

Teraz zbliżał się do owego miejsca, gdzie sterczały z wody głazy. Nagle cała gromada uczniów zamilkła. Wszyscy stali,

Rhodesa. Napoleon afrykański przywołuje na pomoc Chamberlaina. Wybucha wojna, kończąca się, jak wiadomo, gwałtem nikczemnym. Zdawałoby się, iż nieudolność wojenna Anglii i jej brutalność powinny były zrazić kolonie, a wojna transwalska stać się grobem imperyalizmu. A jednak rzecz się ma przeciwnie.

(D. n.).

H. Przedm.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Początek miesiąca zaznaczył się rozruchami bardzo poważnymi w Zagrzebiu. Siedzi w tem mieście dużo Serbów, a wśród nich sporo agitatorów wielko-serbskich. Agentem przyszłej Wielkiej Serbii był redaktor zagrzebskiego *Srbobrana*. Przedrukował on z białogrodzkiego dziennika artykuł o Chorwatach, nazywający ich w całej ich przeszłości— łagasami. Fanatyzm i pycha złożyły się na to głupstwo, przyjęte przez Chorwatów jako hańba. Po wybiciu szyb *Srbobranowi* i gminie cerkiewnej już w d. 31 z. m., nazajutrz rozpoczęto uliczną z Serbami walkę. Wszystkie sklepy, lokale publiczne, mieszkania znane nawiedziła nawałnica ludowa. Gdy sprowadzono wojsko, wieczorem lud rzucił się na siłę zbrojną.

Ogłoszenie małego stanu oblężenia (*Standrecht*) po wyładowaniu się już energii ludowej, wystarczyło do przywrócenia spokoju. Burza trwała od 1 do 3 września. Lud z wsi okolicznych przyciągnął na pomoc stolicy. Bito Serbów w czterech jeszcze miejscowościach wyraźnie wskazanych. Ruch istotnie był narodowym i naocznie wykazał całą kruchość tych etnograficznych i nawet etnologicznych podstaw jedności, które pozwalały niekiedy uważać Serbów i Chorwatów za jeden, tylko różnowyznaniowy, naród. Zaciętość niesłychana na długo pozostanie w obu obozach, a umyślny wiec białogrodzki z udziałem najznakomitszych Serbów, jeszcze ją rozognił. Dla rozwoju słowiańszczyzny południowej i same wypadki zagrzebskie i stan psychiczny przez nie wywołany mogą mieć znaczenie.

Cesarz Wilhelm d. 2 b. m. wydał rozporządzenie o zburzeniu wałów fortecznych Poznania wraz z fortem Hacke na lewym, zachodnim brzegu rzeki.

Sąd wojenny w Nantes skazał podpułkownika St. Rémy za niestawienie się z wojskiem na wezwanie władzy cywilnej — podczas zamykania szkół klasztornych — na *jeden* dzień aresztu. Niesubordynacyi wojskowej sąd nie dostrzegł. Oczywiście jest to fronda polityczna oficerów, których trzeba czemprędzej powyrzucać z armii wraz z samym St. Remym. *Radical* domaga się zniesienia sądów wojskowych.

André miał mowę patryotyczną w Bourgoing d. 31 z. m. o służbie dwuletniej i drugą—o robotniku francuskim i szkole dla niego świeckiej. D. 7 b. m. przemawiał w Agen: Walka opinii politycznej w każdym narodzie dowodzi tylko jego żywotności. Zagranica nie powinna ze sporów politycznych wnosić o rozdwojeniu wewnętrznem. W chwili danej będą umieli wszyscy Francuzi w najdoskonalszej zgodzie wyruszyć w pole.

B. poseł francuski w Petersburgu, Montebello, obwieszcza przed całym światem, że go uwolniono i to po wiernej 12-letniej służbie. Osobliwsze amatorstwo. Następcą lamentującego hrabiego jest Bompard.

Austro-Węgry podnoszą stopę liczebną swej armii, reorganizują artyleryę górską, ulepszają haubice, myślą o zamienieniu Lwowa na fortecę, a Przemyśl wykończają według nowo-uzupełnionych planów.

Na czele mafii sycylijskiej stał niejaki Patizzolo, wzięty wreszcie za kark, zaprowadzony do sądu i przez przysięgłych —aż w Bononii— uznany ze winnego. Niemoralności Sycylii najlepiej dowodzi sympatya dla łotra, objawiona zbiorowo np. na wielkim wiecu w Messynie, który „zabronił“ półwyspowi wtrącać się do wyspy. Zasługę obłamania choćby jednej tylko gałęzi zieleniejącego się ciągle jeszcze drzewa występków publicznych i prywatnych mają głównie politycy radykalni, jak Marchesano, Colajani, Tasca. Są to już z góry przez maffię upatrzone ofiary. O, jakżeby się Włochom przydała mała polityka z wielką miłością ojczyzny prowadzona! Uporządkowanie Sycylii byłoby więcej warte od całego trójprzymierza.

Rząd chiński zniósł podatek *likin*, pobierany od handlu wewnętrznego; wzamian otrzymał w nowym traktacie handlowym, ułożonym z Anglią, który wszakże ma być normalnym dla całej Europy, — lekką podwyżkę ceł tak wywozowych, jak przywozowych. Sprawa tego traktatu nie jest jeszcze ostatecznie załatwiona.

W Portugalii skandal. Król zastawił klejnoty koronne. Kiedy już dostał 5 mil. milreisów (około 23 mil. fr.), Bank portugalski przekonał się, że drogie kamienie, na które głównie liczono, są fałszywe.

W Sofii pod naciskiem dyplomacyi aresztowano Nikołowa i Sonczewa z komitetu macedońskiego, który zakończył swe obrady uchwaleniem ruchu przez zimę, a ruchawki na wiosnę.

Sejm islandzki zażądał odpowiedzialnego ministra sekretarza stanu z rezydencyą w Reykjawik.

Uwolniony ze Św. Heleny Cronje wyraził nadzieję, że już niebawem Anglicy i Boerowie będą „dobrymi“ przyjaciołmi. Trochę za prędko. Generałowie boerscy nic nie wskórali u rządu angielskiego: ani amnestyi dla Afrykanderów Przylądka, ani dodatku do zapomogi na nowe gospodarstwa, zapewnionej w Vereeniging. Ogrom zniszczeń wyraża się podobno sumą 60—70 mil. f. st.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

RADA NADZWYCZAJNA
I PROWINCYONALNE KOMITETY ROLNICZE.

(List z Cesarstwa).

Petersburska Rada nadzwyczajna do spraw przemysłu rolnego, mająca zbadać wszechstronnie przyczyny upadku rolnictwa w całem państwie, uważała, jak wiadomo, za stosowne, przed stanowieniem o jakichkolwiek środkach zaradczych, wysłuchać głosów ludności, trudniącej się rolnictwem. Wychodząc z tej jedynie słusznej zasady, Rada zarządziła utworzenie miejscowych komitetów gubernialnych i powiatowych. Komitetom tym przesłała szczegółowy kwestyonaryusz, pozostawiając do ich uznania rozszerzenie i uzupełnienie zawartych w nim pytań przez podnoszenie spraw ogólniejszego znaczenia. Sprawy ogólno-państwowe, dotyczące ogólnego stanu prawno-politycznego, mogą być roztrząsane przez komitety, o ile, według ich uznania, wpływają na rozwój rolnictwa w kraju.

Jakkolwiek można powątpiewać, czy wszystkie zadania i wnioski poszczególnych komitetów będą uwzględnione przez Radę nadzwyczajną i znajdą wyraz w przyszłem prawodawstwie, w każdym razie jednak ankieta ta może dać ciekawe wyniki, o ile ludność miejscowa skorzysta z niej dla wypowiedzenia swych pragnień. Wydajność pracy komitetów zależy naturalnie od ich składu, rzeczywiste potrzeby rolnictwa będą omówione najwszechstronniej przez te komitety, w których znajdą obrońców i przedstawicieli interesy wszystkich warstw społecznych, żyjących z rolnictwa. Najwięcej przeto należy spodziewać się od komitetów, utworzonych w miejscowościach, gdzie ludność w stałym, choć ograniczonym samorządzie przywykła już roztrząsać sprawy swego bytu, a więc od komitetów gubernij, posiadających ziemstwa.

Niektóre komitety skorzystały szeroko z przysługującego im prawa uzupełnienia programu Rady nadzwyczajnej. Przyto-

---

jak przykuci do miejsca. Kazio stąpał dalej.

Pani Buczalska dostrzegła z okna tę scenę. Pończocha wypadła jej z rąk, wyciągnęła ramiona, chciała krzyknąć. Ale najpierw przerażenie odjęło jej mowę, a następnie powiedziała sobie, że jeśli krzyknie, to chłopak drgnie i spadnie do rzeki. Stała tedy w oknie z rękami wzniesionemi i wytrzeszczonemi oczami a zamarłym okrzykiem na ustach.

Kazio stąpał po poręczy dalej. Teraz owe ostre głazy, sterczące z wody, były tuż pod nim. Wszyscy zatamowali oddech. Niektórzy skurczyli się, przyłożywszy rękę do twarzy, dwóch uciekło do domu ze strachu, a jeden począł w głos płakać.

Kazio stąpał dalej, ale poczęło go ogarniać znużenie. Rozstawione ręce drżały mu lekko, nie stawiał nóg tak pewnie, a po bladej twarzyczce poczęły mu się staczać krople potu. Słychać też było jego urywany oddech. Oczy straciły blask, wlepił je nieruchomo w linię poręczy, stąpając znacznie wolniej, jakby z wysiłkiem.

Teraz łuk poręczy począł opadać w dół. Więc stąpanie było trudniejsze. W dodatku rzeka głównym prądem przerzucała się na ten brzeg, szumiąc i myląc oko wirami. Na moście panowała głucha cisza. Nawet ów chłopak przestał płakać. Zdawało się, że teraz Kaziowi braknie sił, że się nawet lekko zachwiał.

Wtedy nastał przewrót zupełny w psychologii tych dziwnych dziecięcych umysłów. Śród wielkiej ciszy ozwał się wzruszony głos Zabijaka:

— Kazik... teraz tu lewą nogę... teraz tu prawą... teraz tu lewą... teraz tu prawą...

Kazik stąpał a stąpał. Opuszczał się po poręczy w dół. Cała gromada towarzyszyła mu po moście na palcach. Teraz we wszystkich umysłach zrodziło się jedno pragnienie: żeby przeszedł, żeby postawił na swojem, żeby mu się broń Boże jaki wypadek nie zdarzył, żeby wyszedł cało z tego szalonego przedsięwzięcia.

A Zabijak z dwóch stron ujmował rękami poręcz i mówił półgłosem, cały skupiony:

— Teraz tu Kazik... teraz tu... a teraz tu... a teraz tu...

Już wyłonił się brzeg. Niebezpieczeństwo minęło. Brzeg wznosił się wyżej i wyżej; już zrównał się z poręczą.

Okrzyk zachwytu dobył się z wszystkich piersi.

— Zeskocz, dosyć!

— Milczeć — krzyknął Zabijaka.

Kazio szedł dalej. Teraz szło o to, żeby już dojść do samego końca baryery. Rozumiał to przedewszystkiem Zabijak. Więc odpychał kułakami cisnących się, ujmował poręcz i mówił wciąż:

— Tu Kazik... teraz tu... a teraz tu... i jeszcze tu... Koniec.

Kazio skoczył na ziemię.

Wtedy Zabijak odwrócił się do tłumu uczniów i począł im coś mówić, czego Kazio już nie słyszał, gdyż włożywszy ręce w kieszenie ruszył dalej ulicą, popatrując po domach, po bruku, po niebie.

Szepnął tylko sobie:

— Chyba teraz dadzą mi spokój...

I rozumował niepospolicie. Wykazaniem zdolności do współżycia koleżeńskiego zdobył sobie prawa odludka.

czymy tu dwa przykłady. Komitet powiatowy w Sudży (gub. Kurska), na wniosek prezesa, marszałka powiatowego szlachty, p. Jewreinowa, przyjął jednogłośnie następujący program obrad ogłoszony w *Rusk. Wiedom.* Przyczyny smutnego stanu rolnictwa w okolicy mogą być podzielone na dwie kategorye: pierwsza z nich obejmuje sprawy ogólniejsze, ogólno-państwowe, druga — poszczególne braki techniczne. Przyczyny ogólne: 1) Stan prawny i układ bytu włościan: *a*) dozór opiekuńczy, rozciągnięty nietylko na działalność włościan, lecz i na ich osoby; *b*) odosobnienie stanu włościańskiego od innych stanów; *c*) sąd, zwyczaj, prawa osobne; *d*) upośledzenie („pryniżennost“) stanu włościańskiego; *e*) nieproporcyonalność pobieranych od włościan podatków; *f*) brak ziemi; *g*) szachownice; *h*) brak obrony sądowej dla nabytej przez włościan ziemi i wogóle *i*) brak obrony ich mienia; *k*) powinności w naturze. 3) Opieka administracyjna, rozciągnięta na społeczeństwo i jego działalność, jak również i na pojedyńcze osoby. 4) Ciągłe wymaganie zezwolenia i brak systematu deklaracyjnego przy tworzeniu jakichkolwiek towarzystw współdzielczych lub związków. 5) Polityka finansowa, nie uwzględniająca zatrudnienia 85% ludności (podatki bezpośrednie i pośrednie). 6) Wypływająca stąd nienarodowa polityka ekonomiczna całego państwa, sprzyjająca bardzo małej mniejszości ze stratą dla znacznej większości. 7) Złe strony krajowej komunikacyi kolejowej. 8) Taryfy i warunki przewozu. 9) Zły stan dróg wiejskich i zła komunikacya ze stacyami kolejowemi. 10) Brak kredytu wogóle i w szczególności drobnego. 11): *a*) Rola ministeryum rolnictwa; *b*) środki, jakimi to ministeryum rozporządza; *c*) rola ziemstw przy wykonaniu niniejszego programu; *d*) stosunek ministeryum rolnictwa do miejscowych organizacyj społecznych; *e*) komu ma być poruczone wykonanie przyjętych decyzyj: miejscowym urzędom państwowym, czy też samej ludności przez jej reprezentantów? 12) Sprawa dostarczenia ludności środków spożywczych; sprawę tę traktowano wogóle w sposób przestarzały, wykluczono z zakresu kompetencyi samorządu miejscowego i polecono pieczy urzędników, którzy poprzestają na przeżytym już systemacie zapasowych magazynów zbożowych. 13) Kardynalna sprawa oświaty ludowej — w formie obowiązkowego nauczania powszechnego, bez czego niewykonalnem jest przeprowadzenie wśród mas ludowych zarządzeń kulturalnych. 14) Sprawa zbierania ścisłych danych statystycznych z zakresu rolnictwa wogóle i urodzajów w szczególności: *a*) kto maześrodkowywać te dane i wyciągać z nich wnioski; *b*) kto ma zbierać dane na miejscu; *c*) czyim kosztem ma to być przeprowadzane; 15) Sprawa prasy specyalnej i ogólnej. 16) Ze sprawą miejscowego stanu prawnego związana jest ściśle kwestya zaniechania ucisku sektantów, ten bowiem zmusza pozostałą ludność do stronienia od nich, kiedy sektanci stanowią zwykle najgospodarniejszą część ludności. 17) Kwestya duchowieństwa wiejskiego i jego zależności od konsystorza i zwierzchności eparchialnej. 18) Sprawa wiejskiej policyi bezpieczeństwa. Braki w tym względzie dają się najbardziej we znaki gospodarstwom włościańskim. 19) Usunięcie bez powodów z pod obrad zebrań ziemskich spraw, poddanych dyskusyi Rady nadzwyczajnej. 20) Organizacya samorządu ziemskiego, niezależna od różnic stanowych. 21) Zbliżenie samorządu ziemskiego do ludności wiejskiej przez utworzenie drobnej jednostki ziemskiej. 22) Niezbędna dla instytucyi ziemskiej samodzielność. 23) Sprawa robotnicza.

W przytoczonym programie daje się zauważyć pewna chaotyczność układu, — przyznać jednakże trzeba, że komitet sudżański poruszył wiele ważnych spraw zasadniczych, bez rozwiązania, których nie dadzą się usunąć braki gospodarki rolnej, — szczególnie gospodarki największej liczebnie części ludności — tj. włościaństwa. Słuszną, bezwątpienia, jest uwaga, że bez rozpowszechnienia oświaty nie sposób marzyć o podniesieniu kultury rolnej i wogóle o przeprowadzeniu do mas ludowych zarządzeń kulturalnych; słuszna również jest myśl przewodnia całego programu, dająca się streścić w taki sposób: skoro idzie o rozbudzenie wśród ludności samopomocy (a o to przecież chodzi najbardziej), koniecznem jest stworzenie takich warunków, w których samopomoc mogłaby przejawiać się swobodnie i samorzutnie bez zbytniej opieki.

Komitet sudżański zastanawiał się jeszcze nad kilku specyalnymi wnioskami powiatowej rady ekonomicznej, referowanymi przez prezesa powiatowego zarządu ziemskiego, ks. P. Dołgorukowa, jako to: 1) Skutki braku ziemi u włościan. Konieczność określenia minimalnej normy ilościowej gruntu, wystarczającej do utrzymania rodziny włościańskiej. 2) O sposobach usunięcia szachownic na włościańskich gruntach nadanych, gdyż ich istnienie uniemożliwia wszelkie udoskonalenia w płodozmianie. 3) Organizacya pomocy prawnej dla ludności przez utworzenie instytucyi adwokatów ziemskich. 4) Włączenie do zakresu działalności włościańskiego Banku ziemskiego udzielania pożyczek hypotekowanych na gruntach nadanych. 5) Ograniczenie nagromadzania się w jednem ręku posiadłości osobistych (nienadanych). Co zaś do spornej w literaturze i praktyce rosyjskiej sprawy wspólnego i osobistego użytkowania z ziemi — rada powiatowa ekonomiczna orzekła, iż pragnąć należy, by, po usunięciu wszelkiego przymusu i ograniczenia, ludności włościańskiej zostawiono zupełną swobodę wyboru tego lub innego rodzaju użytkowania z ziemi.

W celu szczegółowego opracowania wszystkich wymienionych kwestyj, komitet wydelegował ze swego łona cztery komisye.

Większą systematycznością nacechowany jest program, wniesiony pod obrady komitetu powiatowego w Jelcu (gub. Orłowska) przez prezesa komitetu, marszałka szlachty, p. A. Stachowicza. Jest on zwięźlejszy, lecz zarazem i nieco mniej szczegółowy od programu sudżańskiego. I tu jednak zwrócono przedewszystkiem uwagę na przyczyny zasadnicze smutnego stanu gospodarki rolnej. A więc komitet uznaje, że „na nadzwyczaj nizki stan najważniejszych gałęzi przemysłu i na niezmiernie małą wydajność rolnictwa, przy dość dobrej urodzajności gleby i sprzyjających warunkach klimatycznych, wpływa najfatalniej nędza kulturalna i nędza ekonomiczna — dwa czynniki, tamujące wzrost dobrobytu“ *). Przyczyny złego stanu rolnictwa i środki zaradcze dają się, zdaniem komitetu, ułożyć w trzy kategorye, w znacznej mierze związane z sobą. Kategorye te, z pominięciem punktów, wskazanych w programie Rady nadzwyczajnej, są następujące: I) Sprawy ekonomiczno - agronomiczne: *a*) obecna ogólna polityka finansowa; *b*) małorolność i pożądane sposoby jej usunięcia. II) Sprawy kulturalno-prawne: *a*) oświata ludowa jako niezbędny warunek rozwoju kulturalnego ludności i wzrostu wszelkiego przemysłu; *b*) konieczność dokładniejszego określenia obywatelskich i osobistych praw włościaństwa, odosobnienie tego stanu. III) Sprawy bytowe i administracyjne: *a*) rozwój samopomocy, jako warunek postępu kulturalnego; *b*) konieczność prawidłowego postawienia samorządu miejscowego i utworzenia warunków sprzyjających jego działalności; zmniejszenie nadmiernej centralizacyi.

Znaczna część spraw wymienionych w programie Rady nadzwyczajnej ma, zdaniem komitetu, nierozerwalną przyczynową łączność z wymienionemi sprawami zasadniczemi natury ogólnej. Komitet nie przypuszcza możności skutecznego rozwiązania którejkolwiek sprawy szczegółowej z programu Rady, bez załatwienia poprzedniego wymienionych czynników ogólnych. Rozwiązanie takie byłoby bezpodstawnem, chwiejnem, pozbawionem żywotności i nie przyjęłoby się na gruncie nieprzygotowanym, obfitym w czynniki przeciwdziałające.

Przytoczyliśmy uchwały komitetów sudżańskiego i jeleckiego, gdyż należą one do tych, które traktowały sprawę całą stosunkowo najwszechstronniej. Inne komitety akcentowały poszczególne strony kwestyi ogólnej. Oto parę przykładów:

W komitecie tiemnikowskim (gub. Tambowska) kładziono nacisk szczególny na sprawy kompetencyi ziemstwa i prawnego stanu włościaństwa. „Koniecznem jest — mówił miejscowy marszałek szlachty, p. J. A. Nowosilcow — by do udziału w pracach Rady nadzwyczajnej powołani byli deputaci, wybierani przez gubernialne zgromadzenia ziemskie; za niezbędne również uznać wypada, by wybrani przedstawiciele ziemstw gubernialnych włączeni zostali do utworzonej już przy ministeryum rolnictwa rady rolniczej, tylko bowiem w tym razie rząd centralny zawsze i w porę poinformowany będzie co do miejscowych potrzeb rolnictwa... Pożądanem jest wyzwolenie działalności społecznej od zbytniej opieki; do tego przedewszystkiem mogłoby się przyczynić wskrzeszenie urządzeń ziemskich w ich formie pierwotnej. W sprawie stanu prawnego włościan p. Nowosilcow postawił wniosek następujący: „Ponieważ sprawa rolnictwa sprowadza się w znacznej mierze do kwestyi włościańskiej, przedewszystkiem więc należy podnieść prawa osobiste włościan, zagwarantować rozwój ich samodzielności; w tym celu należy zrównać ich pod względem praw osobistych i cywilnych z osobami innych stanów, poddać ogólnej administracyi i ogólnym instytucyom sądowym.“ Mówiąc o stanie prawnym włościaństwa, p. Nowosilcow podniósł konieczność usunięcia kary cielesnej z kodeksu obowiązującego dla włościan.

W komitecie łochwickim (gub. Połtawska) znany ekonomista rosyjski, p. Tuhan-Baranowskij, podał szczegółowo i ściśle umotywowane wnioski: 1) zupełne zniesienie cła przywozowego od narzędzi i maszyn rolniczych; 2) zniesienie cła od nawozów sztucznych; 3) stopniowe zmniejszenie cła od surowca do 10 kop. w złocie od puda i 4) stopniowe zmniejszenie cła od wszelkich materyałów budowlanych, niewytwarzanych przez miejscowe gospodarstwo rolne, oraz od węgla kamiennego. Ciekawej organizacyi p. Tuhana-Baranowskiego nie przytaczamy dla braku miejsca.

Prof. Karyszew w komitecie aleksandrowskim (gub. Jekaterynosławska) podniósł sprawę systemu podatkowego. „Obecnie tylko trzy państwa w Europie — mówił p. Karyszew — nie mają podatku od dochodu, mianowicie Francya, Turcya i Rosya. Przy zastosowaniu jakiegokolwiek systemu pobierania od ludności środków na potrzeby państwowe, podatki powinny być ściągane tylko od czystego dochodu. W Rosyi jednak, w stosunku do włościaństwa, ta zasada kardynalna nie bywa zachowy-

*) 1) Zupełny brak kultury i bardzo nizki stopień rozwoju umysłowego wśród przeważnej większości osób, trudniących się rolnictwem, tj. wśród włościan. 2) Opieszałość, brak inicyatywy, samopomocy, poczucia społecznego, wreszcie wiedzy specyalnej — dają się zauważyć u wszystkich prawie naszych ziemian i włościan. 3) Przerażająca nędza i prawie zupełny brak kapitału obrotowego wśród klasy rolniczej.

wana: na zaspokojenie potrzeb państwa włościanin oddaje swój zakładowy kapitał rolniczy."

Przytoczonych przykładów dosyć, by pojąć poniekąd wyobrażenie o aspiracyach lepszej części społeczeństwa rosyjskiego i by się przekonać, jak doniosłe i żywotne sprawy podnoszono w komitetach różnych części Cesarstwa. I jeśli w rozmaitych komitetach powtarza się identyczne postawienie kwestyi i jednakowa argumentacya, powinno to świadczyć, że podniesiona sprawa jest rzeczywiście paląca i bolącą. Jakkolwiek w różnych komitetach poszczególne kwestye będą opracowane niejednakowo (gdyż, jak już powiedzieliśmy, rozmaite komitety wysuwały na pierwsze miejsce pewne tylko części sprawy ogólnej), to jednak, zestawiwszy prace wszystkich komitetów, Rada nadzwyczajna będzie mogła otrzymać zupełny całokształt głównych potrzeb przemysłu rolnego.

A. Z—a.

Handel żywym towarem.

Niejednokrotnie już—zarówno w prasie zagranicznej, jak naszej — zapoznawano publiczność z ohydnym handlem, prowadzonym na szeroką skalę we wszystkich krajach, celem dostarczenia świeżego towaru do domu nierządu.

Gdy w r. 1899 stowarzyszenie „National Vigilance Association" zorganizowało w Londynie pierwszy międzynarodowy kongres w celu obmyślenia środków walki przeciw temu handlowi, to myśl ta gdzieindziej wywoływała jedynie ironiczne uśmiechy. Wszystko, co w swoim czasie pisma podawały o przebiegłości naganiaczów, o podstępnem werbowaniu dziewcząt, o cierpieniach i rozpaczy ofiar—wyglądało na romans nieprawdopodobny. Przez ubiegłe trzy lata jednak poczucie konieczności przeciwdziałania tej szerzącej się gangrenie społecznej utorowało sobie znakomicie drogę.

Z jednej strony, dzięki inicyatywie prywatnej, powstały w różnych krajach towarzystwa, mające na celu opiekę nad młodemi dziewczętami, szukającemi pracy. Szwajcarya np. posiada Związek, liczący 9,000 członków, jako też 84 biur stręczeń i 27 agencyj na dworcach kolejowych; rozporządza on dochodem rocznym w sumie 150,000 fr., posiada milion fr. kapitału i udziela pomocy i opieki 15,000 dziewcząt rocznie. W Niemczech istnieje podobne stowarzyszenie, posiadające 31 filij prowincyonalnych, z któremi porozumiewa się 96 towarzystw lokalnych. Ma ono przedstawicieli czynnych w 1,217 miejscowościach, zakłada przytułki i rozciąga nadzór na dworcach i w portach. Podobne towarzystwa powstały przed dwoma laty we Włoszech i przed rokiem w Paryżu, na skutek gorącej odezwy pani Schlamberger.

Z drugiej strony zainteresowały się tą sprawą i rządy, czego dowodem konferencya międzynarodowa 1901 r. w Amsterdamie, a obecnie od 10 do 25 lipca konferencya paryska, z udziałem przedstawicieli Anglii, Austryi, Rosyi, Niemiec, Włoch, Hiszpanii, Portugalii, Belgii, Holandyi, Szwajcaryi, Danii i Brazylii — pod przewodnictwem senatora Bérangera.

Praca podzielona została między cztery komisye: zadaniem pierwszej było ujednostajnienie pod względem prawnym wszystkich krajów, biorących udział w konferencyi, drugiej — rozważenie środków policyjno-administracyjnych, trzeciej — określenie procedury i kompetencyi sądów, oraz porozumień międzynarodowych, czwarta wreszcie miała redagować zapadłe postanowienia, stanowiące treść trzech aktów dyplomatycznych. Konferencya miała dość zawiłe zadanie: ścisłe określenie przestępstwa. Operacye handlarzy mają trzy następujące po sobie stopnie: wynajdywanie towaru, przewóz i sam akt prostytucyi. Każdy z tych trzech momentów przestępstwa odbywa się w innym kraju—jest to bowiem proceder *par excellence* międzynarodowy, przytem pośredniczy tu wiele osób. Ponieważ zaś żadna z tych trzech czynności prawnie wzbronioną nie jest, należało więc obmyśleć, w jaki sposób połączenie ich przez osoby różne, na terytoryach różnych podciągnąć można pod kategoryę przestępstw.

Zadanie to na gruncie prawodawstwa międzynarodowego napotykało niezliczone trudności, to też delegaci zamiast trzech dni, obradowali aż dziesięć i ostatecznie nie doszli do żadnego pożytecznego wyniku, nie postawili nawet jasno sformułowanego żądania i poprzestali na przyjęciu za podstawę konwencyi określenia, proponowanego już na kongresie berlińskim przez Berangera, a mianowicie:

1) Ulega karze każdy, kto dla zadowolenia cudzej namiętności zwerbował lub nakłonił małoletnią dziewczynę, lub nawet skorzystał z jej dobrowolnej chęci, w celu użycia jej do nierządu, bez względu na to, że pojedyncze czyny, składające się na przestępstwo, popełnione zostały w różnych krajach.

2) Karanym też winien być każdy, kto dla zadowolenia cudzych namiętności zwerbował lub nakłonił dziewczynę czy kobietę pełnoletnią, przy pomocy gwałtu, gróźb, nadużycia władzy lub innego przymusowego środka, bez względu na to, że pojedyncze czyny, składające się na przestępstwo, popełnione zostały w różnych krajach.

W tej formie projekt konwencyi oddany będzie do zatwierdzenia każdego poszczególnego państwa wszystkie zaś inne punkty wyrażone są jedynie w formie życzeń: co do wzajemnego wydawania przestępców, ustanowienia biur informacyjnych w celu śledzenia operacyj różnych podejrzanych indywiduów i przesyłania sobie wzajem wiadomości, rozciągnięcia „dyskretnego" nadzoru nad dworcami kolejowymi, portami, biurami rekomendacyjnemi itp.

Co zaś do określenia kar — jednego z głównych punktów planu konferencyi — to po długich rozprawach delegaci, nie uważając się za dostatecznie upełnomocnionych, postanowili sprawy tej nie dotykać, pozostawiając ją decyzyi każdego państwa.

Mamy więc w ogólnych zarysach szkic owego międzynarodowego porozumienia i możemy rozważyć, o ile stanowi ono pewien krok naprzód i czy wzbudzi jakikolwiek postrach między potężną korporacyą handlarzy żywym towarem, ciągnących tak świetne zyski ze swego niecnego przedsiebiorstwa.

Przedewszystkiem uderza nas, że konferencya ulegalizowała niejako handel białemi niewolnicami, ponieważ ograniczyła ściśle wypadki, w których będzie on podlegał karze.

Czemże jest istotnie ów handel? Jest to nikczemne werbowanie kobiet w celu osadzenia ich w domach publicznych, gdzie skazane są na ruinę moralną i fizyczną. I jakież to kobiety padają ofiarą? Nieświadome, nieszczęśliwe, bezbronne, których wychowawczynią była nędza, a co za tem idzie — pozbawione ogniska rodzinnego, opieki i chleba! Handlarze, nie przebierając w środkach, zastawiają sieci, a następnie uprowadzają swe ofiary, jak bydło, wysyłają, sprzedają, wyzyskują aż do chwili, gdy wycieńczone życiem wręcz przeciwnem naturze, zniszczone chorobą weneryczną lub gruźliczą, zrujnowane doszczętnie alkoholem, stają się towarem bez wartości; wtedy odzyskują wolność, ale z niej już korzystać nie mogą...

Czy postanowienia konferencyi mają na celu położenie tamy tej ohydzie, czy czeka zbirów odpowiedzialność sądowa w jakimkolwiek kraju, czy odtąd handel ów będzie uniemożliwiony, albo przynajmniej w znacznej mierze utrudniony?.. Ależ bynajmniej. Projekt konwencyi dałby się sformułować w następujący sposób:

„Werbowanie dziewcząt i kobiet dla prostytucyi nie podlega karze, pod warunkiem, że są one pełnoletnie i nie zostały wciągnięte przy pomocy oszustwa, gwałtu, gróźb lub nadużycia władzy."

Nie sam więc ohydny fach naganiacza do domów rozpusty zasługuje na karę, lecz jedynie jego niezgodne z regulaminem uprawianie, pewne przeoczenie przepisów właściwych. Panowie ci spać mogą spokojnie i „pracować" dalej bezpiecznie, byleby nie zapominali o zaopatrzeniu się w fałszowane metryki dla dziewcząt małoletnich, jako też — w stwierdzone własnoręcznym podpisem świadectwa kobiet pełnoletnich, że zawarcie umowy odbyło się z całą dystynkcyą, elegancyą i delikatnością uczuć, przy czareczce araku, bez użycia gwałtu, gróźb lub oszustwa. Jak jedno, tak i drugie nie będzie stanowiło przeszkody poważniejszej.

O ileż jaśniej i skuteczniej brzmiałaby konwencya, gdyby, bez zaciemniającego ją stylu prawniczego, głosiła wprost: „Ktokolwiek dla zadośćuczynienia czyimś namiętnościom zwerbuje kobietę, bez względu na jej wiek i na sposoby, jakich do nakłonienia jej użyje, podlega karze za sam czyn werbunku."

Nietrudno też przewidzieć, że stosowanie konwencyi w praktyce napotka nieprzezwyciężone trudności: z jednej strony fałszowanie metryk pozostanie zawsze dziełem samych ofiar, handlarzowi więc nic za to grozić nie będzie; dowieść zaś, że kobieta została nakłoniona przy pomocy oszustwa, gróźb lub nadużycia władzy—będzie najczęściej niemożliwem prawie do uskutecznienia.

Tymczasem wiadomo powszechnie, że kobieta najbardziej nawet upadła, najbardziej nędzą zgnębiona, nie idzie z własnej ochoty szukać przytułku w tej otchłani, jaką jest dom publiczny; trzeba, aby ją ktoś do tego nakłonił, zmusił, i to jeszcze nie dając czasu do namysłu. Samo więc nikczemne rzemiosło naganiacza powinno być ścigane. Ale jak ścigać tego, który werbuje, skoro ciągnący bezpośrednie korzyści pozostaje nietykalnym?..

Prawodawstwa wszystkich krajów opiekują się troskliwie funduszami małoletnich dziedziczek, a jakże słabo chronią jedyną puściznę, jaką posiada małoletnia uboga? Ileż ograniczeń prawnych krępuje kobietę we wszystkich okolicznościach życia: gdy pragnie np. wyjść za mąż, musi zadośćuczynić licznym formalnościom, dającym jej czas do namysłu. Lecz kiedy chodzi o zaliczenie jej do armii prostytutek, żaden przepis prawny nie podąża jej z pomocą, nie chroni jej przed złowrogą decyzyą.

Niestety, żadne kongresy lub konferencye, choćby złożone z ludzi najlepszej woli, nie zdołają ani zapobiedz, ani ograniczyć tego wstrętnego handlu, dopóki istnieje patent na rozpustę i urzędowe pozwolenie na oddawanie się jej w umyślnie urządzonych lokalach, dopóki istnieć będzie choćby w jednym kraju ohydna reglamentacya prostytucyi, upoważniony dom publiczny!

Jest to tylko jeden z licznych przejawów wykwitłej na gruncie warunków obecnych hypokryzyi społecznej, pragnącej zasłonić płaszczykiem jątrzącą się coraz bardziej ranę...

Iza Zielińska.

Rudolf Virchow.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Rudolf Virchow nie żyje.

Nie tu miejsce na wyliczanie wiekopomnych prac jego naukowych. Zrobią to pisma specyalne, kompetentniejsze w tym względzie od naszego. Obszerniejszą ocenę jego działalności społecznej daliśmy w roku zeszłym w nr. 43, z powodu ośmdziesiątej rocznicy jego urodzin. Tu zwrócić chcemy przedewszytkiem uwagę, że przez śmierć Rudolfa Virchowa ludzkość traci nietylko genialnego badacza, lecz i serdecznego przyjaciela. Bo epokowe prace jego, reformujące z gruntu całą medycynę, a jednocześnie kładące podstawę pod biologię, antropologię, hygienę, dające wskazówki dalszego badania, a tem samem i dalszego ich rozwoju, ani na chwilę nie odwracały jego uwagi od wadliwości ustroju społecznego, przyczem nie ograniczał się do wskazania, na czem wadliwości te polegają, lecz zarazem udzielał rad do usunięcia ich. A rady te dadzą się streścić w paru wyrazach: rządzący powinni dbać o większą oświatę. Za dowód posłużyć mogą wnioski, jakie Virchow wyciągnął z badań, poruczonych mu przez rząd pruski, nad przyczyną dziesiątkującej ludność na Górnym Śląsku epidemii tyfusu. Rozumie się, że do nich nie ograniczała się troskliwość Virchowa nad polepszeniem doli ludu, działalność jego w tym kierunku, pomimo zdumiewających prac naukowych, zdających się przechodzić siły najgenialniejszego nawet człowieka, nie ustawała ani na chwilę, że wspomnimy choćby o głosowaniu stałe przeciw środkom kolonizacyjnym w Poznańskiem.

Dla tych właśnie powodów zaznaczyliśmy na wstępie, że ludzkość traci w Virchowie nietylko genialnego badacza, lecz i serdecznego przyjaciela.

FEJLETON.

Angelosy i Antropofile.

Śród przepastnych głębin świata istnieje niewielki glob, zamieszkany przez Angelosów, którzy odznaczają się niesłychanem sobkostwem. Skoro jaki Angelos ujrzy belkę w oku bliźniego, nie powie mu o tem, lecz biegnie do domu, chwyta zwierciadełko i bada, czy nie ma w swem własnem oku źdźbła. Potem wyciąga je, nic nikomu nie mówiąc. Skoro inny jaki Angelos zauważy, iż bliźni jego oszukuje drugich bliźnich, wtedy on Angelos biegnie natychmiast do swego pokoju, zamyka się, myśli i zastanawia się całemi godzinami nad tem, czy nie oszukuje pod jakim względem sam siebie. Skoro zaś odkryje, iż to czyni, natychmiast zadaje sobie pokutę i dokłada starań, aby się to więcej nie powtarzało. Ci szczególni egoiści mniemają, iż takiego postępowania wymaga dobro ogółu, że kultura siebie samego jest jedynie słusznem i niemylnem poczuciem dobra publicznego. Podobno też na tym globie niema kodeksów, niema poprawiaczy świata, niema etyki. Czy to jest dobre, czy złe, trudno powiedzieć, gdyż, jak wiadomo, komunikacya międzyplanetarna nie została jeszcze urządzona, przeto nasi ziemscy badacze nie mogą poddać tych objawów obserwacyi bezpośredniej. Powiedziane zaś jest: nie będziesz nikomu wierzył, zwłaszcza jeżeli opowiada rzeczy piękne.

. . . .

Śród przepastnych głębin świata istnieje drugi glob, rozmiarów ogromnych, zamieszkany przez Antropofilów, którzy znowu odznaczają się niesłychanym altruizmem. Skoro taki Antropofil ujrzy źdźbło w oku bliźniego, natychmiast zapomina o cierpieniach, jakie mu sprawia belka, tkwiąca w jego własnem oku, zwołuje wiec i zakłada towarzystwo akcyjne dla wyciągnięcia źdźbła z oka bliźniego. Zazwyczaj dobiera sobie ludzi, w których źrenicy tkwi również belka, gdyż rozumie ich łepiej i oni jego lepiej rozumieją, co jest niezbędne dla użytecznego współdziałania. Wydają nawet tanie książeczki o źdźble w oku bliźniego, które biedniejszym rozdają darmo, a bogatszym za nader nizką opłatą. Skoro inny Antropofil zauważy, iż jaki bliźni oszukuje siebie samego, natychmiast zapomina o boleściach, które mu sprawia oszukiwanie bliźniego swego, rozpoczyna niesłychaną agitacyę, wydaje gazetę, albo też urządza kursy nadzwyczajne, aby tylko wykorzenić w bliźnim oszukiwanie siebie samego. Taka zasada została uznana za najżywotniejsze poczucie publicznego dobra. Każdy Antropofil dumny jest z niej, nazywa siebie przyjacielem ludzkości, a tytuł poprawiacza świata jest największym zaszczytem, którym społeczność antropofilska może go uszczęśliwić. Czy tak jest, czy nie jest, trudno sprawdzić, gdyż, jak już zaznaczyliśmy wyżej, komunikacya międzyplanetarna nie została jeszcze urządzona, a powiedziane jest: nie wierz nikomu na słowo, zwłaszcza, jeżeli opowiada za pięknie...

. . . .

Śród przepastnych głębin świata istnieje niewielki glob Poland, zamieszkany przez istoty, przypominające niezmiernie zarówno Angelosów, jak i Antropofilów. Angelosy zajmują się oraniem, sianiem, szewctwem, krawiectwem, sztuką kulinarną, ozdobniczą, pisywaniem powieści, przepisywaniem powieści i różnemi innemi egoistycznemi zajęciami. Antropofile natomiast zajmują się także sianiem, oraniem, szewctwem, krawiectwem, sztuką kulinarną, ozdobniczą, pisywaniem powieści, przepisywaniem powieści i różnemi innemi egoistycznemi zajęciami, ale im to nie wystarcza; z wielką lubością uprawiają sztukę poprawiania swoich bliźnich, ponosząc wielką ofiarę niebaczenia na dolegliwość, jaką cierpią wskutek własnych przywar i niedomagań. Nazywają siebie zbawcami świata i cieszą się ogromną popularnością śród Angelosów, którzy, idąc za ich radą, natychmiast wyciągają źdźbła ze swego oka, natychmiast starają się wykorzenić w sobie przymiot łudzenia siebie samego, uczęszczają pilnie na kursy, na których się wykłada cnoty i tym podobne nadzwyczajności, ostro siebie sądząc i wierząc w misyę Antropofilów, którzy też, wskutek ciężkiego brzemienia obowiązków publicznych, umierają nieraz w kwiecie wieku na różne choroby antropofilskie.

Rzadko bardzo trafia się śród tych Angelosów i Antropofilów typ, który jest mieszańcem obu tych ras. Taki mieszaniec postępuje inaczej. Wyciąga najpierw belkę ze swego własnego oka, a potem leci radośnie do Angelosów i Antropofilów, oznajmia im z entuzyazmem, że udało mu się oswobodzić oko swoje z belki, że teraz widzi doskonale, nie cierpi, jest szczęśliwy. Rozumie się, że Angelosy są niesłychanie zdziwione i nieraz nie wiedzą, co zrobić z uciechą onego mieszańca; nie lubią nawracać bliźnich, nie lubią opowiadać o swoich uleczonych źrenicach, wszelako coś ich potajemnie ciągnie do tych mieszańców. Lecz całkiem inaczej zachowują się wobec tego Antropofile. Zwołują natychmiast wiec i postanawiają mieszańca bojkotować, zasady jego nazywają szaleństwem, utopią, brakiem poczucia dobra ogółu; kto chce na ów ogół wywierać wpływ, ten, według ich mniemania, powinien nie zajmować się sobą, powinien wyprzeć się swego szczęścia, powinien nie sobie, ale bliźniemu poświęcić dzień i noc, swą jawę i swój sen, swoje cierpienie i swoje radości, swój rozum i swoje zastanowienie. To też mieszaniec niebawem usuwa się w tak zwane zacisze domowe, gorzknieje, macha na wiele rzeczy ręką, wreszcie przystaje albo do Angelosów, albo do Antropofilów.

. . . .

Czy ostatecznie to jest tak na owym globie, czy tak nie jest, trudno sprawdzić, gdyż, jak już raz pozwoliliśmy sobie zaznaczyć, komunikacya międzyplanetarna jest bardzo a bardzo utrudniona, u nas zaś powiedziane jest: zawahaj się siedm razy, nim uwierzysz temu, który opowiada rzeczy brzydkie......

Andrzej Niemojewski.

PAMIĘTNIK.

Dwie książki.

Niejednokrotnie już powstawano w prasie na drożyznę podręczników szkolnych, niemało wogóle mówi się u nas i pisze o przychodzeniu z pomocą kształcącej się młodzieży, są jednak ludzie, zajmujący nawet poważne stanowiska w świecie pedagogicznym, którzy w tych sprawach uznają widocznie za stosowne trzymać się stale — „osobnego zdania.“

Leży przede mną pożółkła już ze starości, robiąca wrażenie makulatury, choć świeżo nabyta książka, nosząca wydrukowany w dwu językach tytuł: „Wypisy polskie, podręcznik dla klas wyższych średnich zakładów naukowych, ułożył Teodor Wierzbowski. Wydanie drugie, r. 1888.“ Po drugiej stronie wydrukowano cenę: rubli dwa. Jak na podręcznik szkolny, nabywany nieraz przez młodzież bardzo niezamożną, to chyba trochę za dużo. Prawda, że książka zawiera 460 stron druku, ale praca autora, a raczej układacza i zarazem wydawcy, polegała tu jedynie na przedrukowaniu z różnych pisarzów niezawsze szczęśliwie wybranych wyjątków i dodanie do nich krótkich notatek biograficznych. Może strona wydawnicza— papier, druk, ilustracye — pociągnęła zbyt wielkie koszty? Gdzie tam! Wszystko w tej książce jest po spartańsku skromne, ilustracyj ani podobizn autografów niema wcale, papier lichy, wygląda już dziś, jak staroświecka bibuła, jedyny więc wzgląd, usprawiedliwiający (?) tak wysoką cenę, to pewnego rodzaju monopol, z którego korzysta autor, gdyż „Wypisy“ jego są jedynym podręcznikiem do nauki języka polskiego w klasach wyższych, zatwierdzonym przez okręg naukowy.

Przypadek zdarzył, że jednocześnie z „Wypisami“ p. Wierzbowskiego dostało się nam do rąk nowe wydanie znanego czytelnikom *Prawdy* przekładu polskiego cennej „Antropologii“ Tylora. Doskonały papier i druk, ładna okładka, dobry i pięknie wykonany portret autora, liczne ilustracye, słowem dbałość i staranność o stronę zewnętrzną, cechująca wszystkie wydawnictwa p. Stefana Dembego, sprawiają, że książkę tę poprostu przyjemnie wziąć do ręki... A choć to rzecz poważna, niemogąca liczyć na zbyt szeroki, cena jej wynosi również tylko 2 ruble Za granicą za podobne wydawnictwo zapłaciłoby się około 20 franków. Zestawienie takiej i tak wydanej książki z „Wypisami“ p. Wierzbow-

skiego jest, bądź co bądź, dosyć wymowne... *wb.*

Flisacy.

Odświętni badacze życia społecznego, znający położenie różnych warstw ludności z takich „salonowych kawałków,“ jak „Hej, flisacza dziatwo!“ lub „Albośmy to jacy tacy...“, nie domyślają się nawet, jak daleko rzeczywistość odbiega od ideału owej „kierezyi, wyszywanej guziczkami, pentliczkami dookolusieńka,“ o której przy dźwięku podkówek śpiewa ochoczo znany powszechnie „krakowiak.“

Ogłoszony świeżo projekt Zarządu warszawsk. okręgu komunikacyj co do utworzenia nadzoru sanitarnego na rzekach spławnych w Królestwie Polskiem, rzuca ponure światło na jedną z warstw ludu pracującego, znaną z pewnością lepiej ze sceny lub z piosenek popularnych, niż ze smutnej rzeczywistości. „Wskutek częstych chorób — czytamy w *Kuryerze Warsz.* — panujących wśród robotników na tratwach i berlinkach, rząd niemiecki przedsięwziął szereg środków przeciwko robotnikom tutejszym i nie dopuszcza ich do dalszego spławu na terytoryum pruskiem, żądając zmiany robotników w Nieszawie.“ Zarząd komunikacyi stwierdził, że wina ciąży głównie na samych właścicielach tratew i statków, którzy, bez przymusu władzy, nie chcą myśleć o polepszeniu warunków pracy. Z powodu nędznego odżywiania robotników, na tratwach szerzą się choroby oczu; oprócz tego, z braku odpowiednich pomieszczeń dla flisaków i orylów, zmuszonych miesiącami całymi sypiać na mokrej i zgniłej słomie, panuje wśród nich febra, malarya itp. W razie nagłego zasłabnięcia robotnika, właściciele tratew podpływają do brzegu i tu pozostawiają chorego bez żadnej opieki, nie troszcząc się o jego los, ani o rodzaj choroby. Przystanie nadbrzeżne pozbawione są często wszelkiego nadzoru lekarskiego, a zdrowotność wybrzeży pogorszyła się jeszcze z powodu takich urządzeń, jak bydłobójnie, łaźnie itd.

Okropne te warunki mają uledz obecnie pewnej zmianie na lepsze. Ministeryum komunikacyj, jak donosi wspomniany organ, zgodziło się w zasadzie na projekt Okręgu i wyznacza odpowiedni kredyt na utrzymanie stałego lekarza i kilku felczerów. Pensya lekarza wynosić ma 150 rb. miesięcznie; należeć będzie do niego nietylko policyjno-sanitarny, ale i hygieniczny nadzór nad warunkami pracy i odżywiania się robotników żeglugi i spławu. Praca będzie tu naturalnie ogromna, to też liczba lekarzy ma być w przyszłości zwiększona.

Miejmy nadzieję, że ważne te placówki oddane zostaną ludziom, pragnącym istotnie poświęcić się z zapałem pracy społecznej, do której znajdą tu pole wdzięczne, choć uciążliwe. Smutno byłoby bardzo, gdyby stanowisko lekarza takiego obrócić się miało jedynie w synekurę wygodną. *Sm.*

Zelżenie korespondenta.

P. Jerzy Ohrenstein jest współpracownikiem pism polskich, posiadającym znajomość języka hebrajskiego i żargonowego. To pozwalało mu informować od czasu do czasu ogół nasz o prądach i dążeniach społecznych, przenikających masy żydowskie. Że jednak w swych pracach publicystycznych występował on wielokrotnie przeciw fanatyzmowi i wsteczności pospólstwa żydowskiego, więc wytworzył sobie wśród nich wrogów nieprzejednanych.

Niezadowolenie Żydów z działalności publicystycznej p. O. wyraziło się świeżo na zjeździe syonistycznym w Mińsku, w sposób, urągający wszelkim zwyczajom, przyjętym w społeczeństwach cywilizowanych. P. Ohrenstein zamierzał uczestniczyć w tym zjeździe, jako korespondent specyalny *Gazety Polskiej*, lecz jeszcze przed rozpoczęciem obrad, zelżony i obity przez tłum żydowski, tuż obok kancelaryi zjazdu, wyjechał z Mińska, nie mając ochoty narażać się na nowe obelgi i napaści.

Nawet ludy dzikie wiedzą, podobno, że osoba posła jest nietykalna. Z praw nietykalności i gościnności korzystają również w całym cywilizowanym świecie korespondenci i przedstawiciele prasy, oddający swe siły i zdolności służbie publicznej. Czyżby tylko syoniści mińscy pozostawać chcieli o sto mil po za granicami kultury? Niebardzo to bezpieczne, nawet dla dobra tej sprawy, w której „obronie“ gotowi są przyjmować kijami spokojnych delegatów bezstronnego organu polskiego. *b.*

Wieczna... dwulicowość.

Śmiesznemi doprawdy wydają się już czasem niektóre nasze występy antyniemieckie, wobec skwapliwego wyszukiwania przez *Kuryery* najdrobniejszych wzmianek o nas w prasie obcej i tej dziwnej na nie wrażliwości. Jakaś niemiecka gazeta sportowa wydrukowała parowierszową notatkę o obchodzie dwudziestolecia jednego z naszych towarzystw sportowych. „Najpoczetniejszy“ organ polski musi ją przedrukować z należną czcią, na czele swej rubryki „Ze sportu,“ jak gdyby każdy wyraz tej notatki był co najmniej wiadomością o nowych tryumfach hrabiów polskich na wyścigach samochodowych. A przyparci do muru, tłomaczylibyśmy się zapewne, że owa gazetka sportowa wychodzi w Wiedniu lub w Monachium i „sprzyja“ rozwojowi naszych stajen wyścigowych. O wieczna... dwulicowość!

BADANIA NAUKOWE.

HISTORYA.

Józef Bojasiński: *Rządy tymczasowe w Królestwie Polskiem. Maj—Grudzień 1815.* (Monografie w zakresie „Dziejów nowożytnych,“ wydawca Szymon Askenazy; tom I). Z zapomogi Kasy Mianowskiego, Warszawa, 1902, 8-o, str. XV+269+4 nl. (Cena 1 rb.

W jednym ze szkiców, zamieszczonych w zbiorze „Wczasy historyczne,“ z którego zdawaliśmy niedawno sprawę na tem miejscu, p. Askenazy wyrzeka na niezmierne ubóstwo naszej literatury monograficznej w zakresie dziejów nowożytnych. Ubóstwo to jest, niewątpliwie, objawem bardzo smutnym, a dotyczy ono zarówno wydawnictwa źródeł, jak i opracowań krytycznych. Istnieje wprawdzie kilkanaście prac, nader cennych i obszernych, ale nie mogą one zapełnić olbrzymiej tej luki, a częstokroć nawet grzeszą brakiem ścisłości krytyczno-historycznej.

Brakowi temu, chociaż w drobnej części zaradzić ma rozpoczęte dziełem, wymienionem w nagłówku, wydawnictwo „Monografii w zakresie dziejów nowożytnych.“ Jest ono zakreślone na wzór „Sbornika“ Cesarskiego Towarzystwa historycznego w Petersburgu i „Publicationen“ królewskich Archiwów stanu w Berlinie. Dzieło inicyatywy prywatnej, rozporządzające szczupłymi środkami, nie może pod względem rozmiarów i doniosłości równać się z pierwowzorami swoimi, lecz mimo to dla historyografii naszej może ono być niezmiernie pożyteczne.

Zasadą wydawnictwa jest połączenie ogłaszania źródeł z ich opracowaniem krytycznem, w ten sposób, że każdy tom dzielić się będzie na dwie połowy: w pierwszej znajdziemy właściwą monografię, w drugiej — przypisy, akty, dokumenty materyały, po raz pierwszy z archiwów wydobyte i ogłoszone.

Pierwszy tom „Monografii“ odtwarza epokę, bardzo ważną a mało dotychczas znaną i opracowaną. Utarło się powszechnie, że mówimy i piszemy: po zniesieniu Księstwa Warszawskiego, na mocy uchwał Kongresu Wiedeńskiego, ustanowiono Królestwo Polskie. Mówiąc tak, nie widzimy zgoła, że dopuszczamy się błędu logicznego i historycznego: upadek Księstwa od powstania Królestwa oddzielony jest okresem trzechletnim, 1812—1815, którego przecież naród jednym tchem nie przeżył, aby go z księgi dziejów wymazać. Przeciwnie, był to okres nader ważny, przełomowy, okres rozbicia, niepewności, oczekiwania, okres niestałej równowagi politycznej, z którego jednak wyłoniły się późniejsze formy ustawodawcze; jednem słowem, była to doba niezmiernie płodna w następstwa dla dalszego życia politycznego. Należy jej się więc szersze i głębsze uwzględnienie.

Dzień 20 czerwca 1815 r. dzieli ten okres na dwie części: od 14 marca 1813 r., tj. od chwili zajęcia całego obszaru Księstwa Warszawskiego przez wojska rosyjskie, aż do daty powyższej rządziła Rada Tymczasowa, powołana przez Aleksandra I; w dniu zaś 20 marca 1815 r. uroczyście ogłoszono Królestwo Polskie i ustanowiono Rząd Tymczasowy. P. Bojasiński zajął się drugą częścią tej epoki przejściowej, podając z pierwszej tylko główniejsze fakty historyczne, niezbędne do zrozumienia całości.

Dwie te doby różnią się zasadniczo jedna od drugiej i ilustrują wybornie to ścieranie się pojęć i interesów w sprawie polskiej, zarówno na kongresie wiedeńskim, jak przy dworze petersburskim i w łonie społeczeństwa rosyjskiego. Rada Najwyższa składała się z następujących członków: prezesa, a zarazem generał-gubernatora Księstwa Warszawskiego, Wasylego Sergiejewicza Łanskoja, wiceprezesa Nowosilcowa, ks. Ksawerego Druckiego-Lubeckiego, Tomasza Wawrzeckiego i Prusaka Krzysztofa Colomba — uczestniczyło więc w niej dwóch Polaków. Na najniższych zaś szczeblach administracyi, obok dotychczasowych prefektów i podprefektów, stali naczelnicy „okrużni“ i „obłastni,“ pierwsi w departamentach, drudzy — w powiatach. W Warszawie został ustanowiony zarząd policmajstra, którym był zrazu gen. Swieczyn, później zaś gen. Hertel. Sprawy polskie w Petersburgu spoczywały w ręku hrabiego Arakczejewa, który, jak zaznacza p. Bojasiński, u ludu rosyjskiego zasłużył sobie na przydomek „strasznego,“ a w dziejopisarstwie rosyjskiem na „sąd jak najsurowszy.“

Dnia 3 maja 1815 r. na Kongresie Wiedeńskim zostały zawarte trzy traktaty między Austryą, Prusami i Rosyą, na mocy których rozstrzygnięto ostatecznie losy Księstwa Warszawskiego; d. 27 maja traktaty te zostały ratyfikowane, a 9-go czerwca włączone do słynnego aktu, zamykającego obrady Kongresu. W kilka dni potem, d. 13 czerwca, przyszła do Warszawy wiadomość o wyniku obrad kongresowych. Przywiózł ją „chory ze zgryzot“ książę Adam Czartoryski. W tydzień później, d. 20 czerwca, odbyło się uroczyste ogłoszenie Królestwa Polskiego i instalacya Rządu Tymczasowego. Od tej też chwili zaczynają się właściwe badania naszego autora.

Przejście do nowej formy życia politycznego dokonane być miało według poleceń Cesarza Aleksandra I, stopniowo, powoli, „bez wstrząśnienia“; na razie więc pozornie wszystko zostało po dawnemu: wojska rosyjskie okupacyjne zajmowały, jak do-

tąd, cały kraj, urzędnicy rosyjscy pozostali na swych stanowiskach. Ale z drugiej strony dała się zauważyć znaczna zmiana. Przedewszystkiem zmienił się skład rządu: zamiast znienawidzonego i podejrzewanego o nadużycia w gospodarce skarbu Prusaka Colomba, mianowany został członkiem Rządu Tymczasowego Adam ks. Czartoryski, co odrazu dało Polakom przewagę u steru spraw krajowych, gdy w Radzie byli oni zawsze w mniejszości. Przytem zarząd Królestwa normował się według „Zasad“ przyszłej konstytucyi, nakreślonych przez Czartoryskiego, a podpisanych przez Cesarza Aleksandra I jeszcze w Wiedniu, d. 27 maja 1815 r. Tak więc w maju i w czerwcu tegoż roku nastąpił przełomowy zwrot w przyszłych losach Księstwa Warszawskiego, dający się zauważyć w kierownictwie sprawami krajowemi.

Jedyną kwestyą polityki zewnętrznej, którą miał załatwić Rząd Tymczasowy, było wytknięcie nowych granic z Prusami i Austryą, do których powracały części dawnego Księstwa. Całą uwagę zwrócono zresztą ku sprawom wewnętrznym. A zadanie tu było bardzo trudne: z jednej strony ustanowić nową administracyę w kraju, który od niedawna tak rozliczne przechodził koleje, z drugiej zaś— doprowadzić do jakiego takiego porządku finanse Królestwa. Ten ostatni szkopuł był najważniejszy: kraj był ekonomicznie wycieńczony wskutek wojen, przewrotów politycznych; okupacya pociągała za sobą duże ciężary, spadające na ludność krajową, wreszcie gospodarka Colomba doprowadziła skarb niemal do ruiny. Zdobycie więc środków pieniężnych na cele krajowe, bez zbytniego obarczenia mieszkańców, było największą troską Rządu Tymczasowego.

Wśród takich prac minęło pół roku. Dnia 27 listopada Cesarz Aleksander I podpisał w Warszawie kartę ustawodawczą konstytucyi; d. 2 grudnia mianował Zajączka namiestnikiem ku wielkiemu jego zdziwieniu, wreszcie d. 24 grudnia ogłoszono konstytucyę, i Rząd Tymczasowy złożył swoje pełnomocnictwo.

P. Bojasiński wywiązał się sumiennie z podwójnego zadania: wydawcy i komentatora źródeł. Obraz, nakreślony przez niego, nie jest świetny i błyskotliwy, nie czaruje urokiem formy, ale celuje jasnością, krytycyzmem i źródłowością. Żałować może należy, że autor nie oparł swych wywodów na szerszej podstawie, nie wykazał tych czynników ogólno-dziejowych, które wpłynęły na takie a nie inne rozstrzygnienie sprawy polskiej zarówno w Wiedniu, jak w Petersburgu. Nie chciał się może rozpraszać, rzucając natomiast całe światło na stosunki wewnętrzne Królestwa. W każdym razie *Rządy Tymczasowe* stanowią materyał, z którym liczyć się będzie musiał każdy przyszły historyk tej epoki.

Życzyć należy, aby i dalsze tomy „Monografii“ zawierały materyał równie ciekawy i doniosły. *H. Galle.*

LITERATURA I SZTUKA.

EKSTAZA.

Nel ciel
Fu'io, e vidi cose, che ridire
Ne su...
Perchè, appressando se al suo disire,
Nostro intelleto si profonda tanto,
Che la memoria retro non può ire.
Dauto.

Byłem w niebie — opisuje Daute — i widziałem to, z czego sprawy zdać nie mogę... Gdyż zbliżając się do celu swych dążeń, wnika w nie umysł tak głęboko, iż wspomnieniem też cofnąć się nie może.

„Byłem w niebie....“ Jest bez wątpienia taka sfera „niebiańska,“ pozwalająca człowiekowi wznieść się poza „ziemskie kolisko.“

A profesor Tomasz Achelis *) powiada, iż człowiekowi *wrodzoną* jest ta skłonność do wznoszenia się nad poziomy, do parcia ku owemu dantejskiemu „wniebowzięciu.“ Człowiekowi — mówi uczony profesor — wrodzoną jest skłonność do wznoszenia się, jakimkolwiek sposobem ponad codzienną sferą, i to aby uchronić się choćby na chwilę przed zabijającem brzemieniem więzów społecznych. Skłonność ta jest *ogólno-ludzką*, a spotykamy ją wszędzie, u wszystkich ludów, niezależnie od różnorakości ich tła psychicznego. I z tego też powodu, bez względu na dziwne nieraz towarzyszące jej okoliczności, musimy ją uważać za *niepożyte dobro kulturalne.*

Czemże więc jest ta „bytność w niebie“ ekstaza? Jakie jej znamiona? Jakie znaczenie społeczne, etyczne, estetyczne? Jej wpływ na poziom kultury?

Jeżeli prawdą jest, co powyżej napisano, że ekstaza jest czemś wrodzonem ludzkości, jest cechą ogólną, jest wreszcie „dobrem niespożytem“ — toć z największą skrupulatnością przyjrzeć się jej należy i należycie ją sobie uświadomić.

Z tego też założenia wyszedł profesor Achelis, zabrawszy się do opracowania „znaczenia kulturalnego ekstazy.“ A jedno jeszcze uważa on za pewnik: To, co nazywamy świadomością, jest tylko znikającą małą cząstką całokształtu działającego w nas życia duchowego. Świadomość nasza, niby mała wysepka, unosi się ponad bezdenną głębią niezmierzonego oceanu. Z głębin tych wyłaniają się wciąż obrazy, z których tylko mała część w tak ostrych występuje konturach, iż może uprzystępnić się naszej świadomości. Reszta wrze w bezkresnym oceanie...

Oto założenie Tomasza Achelisa.

Jedno jeszcze chcielibyśmy tu dodać. A właściwie poruszył już mimochodem tę sprawę jeden z myślicieli niemieckich, omawiając temat podobny.

Przyzwyczailiśmy się zbyt wiele zjawisk psychicznych podciągać pod miano ekstazy. Zbyt często banalizujemy to pojęcie. Rzecz oczywista, że dusza nasza nie pozostaje wciąż na jednakim poziomie. Raz napięcie jej wzmaga się, drugi raz opada. Z tego jednak wnosić nie należy — jak to czynią do przesady pozbawieni talentu noweliści i sentymentalne stare kobiety — iż silniejsze nieco napięcie psychiczne tem samem już równa się stanowi ekstatycznemu. Zażywając „godzin jasnych,“ lub przeciwnie „ponurych, ciemnych,“ mamy przecież wciąż świadomość, iż jesteśmy sobą, jesteśmy tylko w dobrem lub złem usposobieniu. Kardynalnym zaś warunkiem ekstazy jest zwątpienie o tożsamości swej osoby, stopniowy zanik osobowości i przerodzenie się w inną, zgoła odmienną. Ekstaza nie jest tedy napięciem psychicznem, jakie przypisywać by można podnieceniu, dobremu usposobieniu. Nie, ona jest czemś wprost przeciwnem. Nie ma w sobie nic z takiego „dobrego“ usposobienia. Jest przeciwnie: bolesną a błogą. Bolesną w stanie wyjścia (eks-stazy) świadomości po za sferę dotychczasowego działania, błogą — w chwili dojścia do pełni, w chwili owego „wniebowzięcia.“ Instrukcya dla mnichów na górze Athos, pochodząca z XIV wieku rzuca charakterystyczne światło na to, jakich przejść i zmian fizycznych i psychicznych doznawać musieli ci, którzy sztucznie wprawić się chcieli w zachwyt:

„Zamknij drzwi i wznieś swego ducha od wszech rzeczy błahych i doczesnych. Pochyl następnie brodę na piersi, a nakładem całej swej siły skieruj oko na środek brzucha, w okolicę pępka. Ściśnij przewody oddechowe, by ciężko powietrze przepuszczać. Staraj się wewnętrznie znaleźć miejsce serca, siedliska wszelakich mocy psychicznych. Najpierw znajdziesz ciemność i gąszcz. A kiedy tak przetrzymasz dnie i noce, zaznasz niewypowiedzianej rozkoszy cudu. Bo duch twój ujrzy to, czego nigdy nie pojmował...“

Nie tak więc łatwem, codziennem i przeciętnem jest pojęcie i, co ważniejsze, stan, oznaczony mianem zachwytu. Gdyby nie rozwlekano go po szarzyznie przeciętnych wrażeń, nie naginano do codziennego użytku, mniej „cudowności“ chodziłoby po świecie, a więcej znalazłoby się odczucia stanów wyjątkowych, opartych o głębokie podścielisko psychiczne.

Nie będę rozbierał samego pojęcia ekstazy, ani podawał dowodów jej istnienia. Chciałbym tylko rozważyć w ogólnych zarysach znaczenie jej w trojakim kierunku społecznym, etycznym i estetycznym. Taki podział wprowadza właśnie prof. Achelis.

Przechodząc do pierwszego z tych kierunków, wmyślmy się w stanowisko historyka. Weźmy np. takie chwile w dziejach, jak wojny krzyżowe, reformacya, przemiana Francyi z monarchii w rzeczpospolitą, fakty wstrząsające podwalinami całych zbiorowisk społecznych, albo jednostki takie, jak Hannibal, Cezar, Wallenstein, Napoleon. Jako podstawowy warunek uświadomienia sobie tych epokowych wydarzeń i ludzi, przyjąć musimy — jak powiada Achelis — siłę namiętności i afektów, występujących w formie psychicznej „zarazy,“ szerzącej się na tle ekstatycznem z błyskawiczną szybkością. Wszystkie ewolucye, o których mówią dzieje w najrozmaitszych epokach, były wynikiem fanatyzmu bądź polityczno-społecznego, bądź religijnego.

Albo przyjrzyjmy się tej „zarazie“ w innej postaci, spojrzyjmy na historyę wieków średnich, na te szatańskie i czarodziejskie potworności, sekty zyskujące krocie zwolenników, stosy dymiące i krwawiące pale, którym ofiary ekstatycznej namiętności przysparzały wciąż nowych męczenników.

Albo weźmy pod uwagę inny, wciąż się powtarzający fakt: strach paniczny, wywołany w tłumie, owo bezpośrednie przeniesienie jednego wyobrażenia w skłonne do poddania mu się umysły. Bechterew, omawiając suggestyę, pisze: „Kto sam przeżył chwile panicznego strachu, ten przyzna, iż uczucie to nie jest równe zwykłemu tchórzostwu, które można by pokonać świadomością obowiązku lub siłą przekonania. Nie, jest to coś, co niby najsilniejsza zaraza, wybłyskuje odrazu, wszczepia w tłumy uczucie najwyższego niebezpieczeństwa, tak iż omdleć musi wszelki dar przekonywania. A wytłomaczyć sobie można to tylko suggestyą jakiejś idei, która powstała bądź na tle niespodzianego wrażenia optycznego, bądź słowa rzuconego w tłum. A ponieważ strach paniczny narusza wrodzony każdemu człowiekowi popęd samozachowawczy, ulegają mu więc zarówno najoświeceńsze warstwy społeczne, jak i zwykły lud.“

Przypatrzmy się omawianemu zjawisku ze strony psychologicznej. Uderza nas przedewszystkiem u jednostki ów charakterystyczny stan ekstazy świadomości, po za normalne granice, a powtóre zaraźliwość tego stanu. Najbystrzejszy myśliciel — mówi Achelis — najgenialniejszy artysta, najuczeńszy badacz pozostaje w tym samym stanie, na tym samym poziomie psychicznym, co najzwyklejszy rzemieślnik, wieśniak, nieumiejący czytać ani pisać, jeśli ich obserwujemy pod kątem widzenia ekstazy. Wszyscy bez wyjątku ulegają jednej mocy elementarnej, jednej idei, pokrywającej ich świadomość normalną.

*) Profesor dr. Thomas Achelis: *die Ekstase in ihrer kulturellen Bedeutung* 1902.

I jeszcze jeden nader charakterystyczny moment tu się przejawia: oto ekstaza wywołuje w społeczeństwie najsilniejsze poczucie solidarności. Tłum, podniecony aż do stanu ekstatycznego, odczuwa nadzwyczaj silnie przynależność jednostek do siebie, jednostek, które w normalnym stanie świadomości nie znały się wcale, a teraz napięte psychicznie na ten sam ton, te same też wydają oddźwięki. Co więcej, ekstaza zdolna jest nawet pozbawić indywidualnego pociągu do życia. W stanie ekstatycznym może się egoistyczna miłość życia przerodzić w altruistyczne jego zaprzeczenie. W stanie zachwytu idą rzesze na śmierć. Aż do takich granic posuwa się znaczenie ekstazy, jako czynnika społecznego.

Etyczne znaczenie ekstazy najdosadniej określone zostało przez Wundta. Oto, powiada on, dusza jednostki nawet słabego charakteru daje się w pewnych chwilach i decydującem położeniu unieść po za sferę, w której się zwykle znajduje; w tych chwilach może ona siłą niespodziewanego porywu woli wykonać taki czyn, któregoby jej nie można było przypisać, gdyby go była uczyniła po trzeźwej rozwadze. I na tem właśnie polega olbrzymie znaczenie ekstazy, iż rozsadza granice bytu indywidualnego, powodując takie czyny jednostki, wobec których czuje się ona narzędziem jakiejś mocy nieujętej, trzymającej w swych więzach wolę człowieczą. Dość wymienić kilka przykładów z historyi, by się przekonać, do jakich to czynów posuwały się osoby, opętane ekstazą. Dość wspomnieć męczenników swych wierzeń, którym siła ekstazy pozwalała zapominać o największych cierpieniach i uśmiechać się tam, gdzie w innych warunkach najwyższa rozpacz malować się była powinna.

A wreszcie ekstaza jako czynnik estetyczny. Zbliżając się do pojęcia sztuki, już z góry przyjąć musimy, iż się w niej instynktownie uzewnętrzniają podniety psychiczne o niezgłębionem tajemniczem obliczu. Wszak—jak to stwierdza sumarycznie prof. Achelis — wszyscy wielcy artyści przyznają jednomyślnie, iż mimo ich woli przejawia się w nich nieprzezwyciężone parcie ku tworzeniu, tak iż właściwy akt twórczy odbywa się niekiedy jakoby w półśnie, w nadziemskiej jakiejś sferze, zdala od szarzyzny dnia.

Stąd też pochodzi, iż niektórzy badacze chcieli nawet przeprowadzić pewną analogię między szałem a twórczością artystyczną. Geniusz i obłąkany — stał się ulubionym zwrotem frazeologicznym dla wyrażenia tej myśli.

Horacy określił twórczość jako *amabilis insania* (luby szał); Jakobi, opisując osobę Goethego, wyraził się wprost: *Goethe ist ein Besessener* (Goethe jest to człowiek opętany), a Plato wypowiedział pamiętne słowa, iż bez szału niema prawdziwego poety, a każdy, kto w rzeczach poznaje wieczne idee, przejawia się jakoby szaleniec.

Filozof niemiecki, Hartmann, takie znalazł uzasadnienie stanu ekstatycznego artysty: „Auto-suggestya, której artysta ulega, powoduje u niego gorącą tęsknotę twórczości, i to w obrębie pewnego działu sztuki, a w dziale tym, w pewnym oznaczonym kierunku, który znowu zależny jest od indywidualności owej jednostki, jej doświadczenia i skłonności. Tęsknota ta, w połączeniu z zanikiem jawy, jest tem, co nazywamy nastrojem twórczym; im bardziej artysta się oddala od zwykłej kombinacyi, tem bardziej zbliża się ów nastrój do stanu ekstatycznego, do snu, tj. auto-somnambulizmu.“

Na takich podstawach przychodzi do skutku owa *unio mystica* (łączność mistyczna), w której po usunięciu przeszkód krępujących indywidualność, może się artysta wczuć i wmyśleć w tory i bieg życia kosmicznego. W ten to sposób mógł się Mickiewicz w najwyższym zachwycie utożsamić z narodem — to samo pojmował Słowacki, kiedy w Liście do Rembowskiego pisze o „tęczowych wyjaśnieniach się,“ mocą których podnosimy się do wyrozumienia jasności bożych.“ Tą samą siłą natchnienia podyktowane jest wyznanie ducha z Goethowskiego „Fausta“:

„Ich wall' auf und ab,
Webe hin und her!
Geburt und Grab
Ein ewiges Meer,
Ein wechselndes Weben,
Ein glühendes Leben,
So schaff' ich am tausenden Webstuhl der Zeit
Und wirke der Gottheit lebendiges Kleid.*)

A Tomasz Achelis, traktując rzecz ze stanowiska psychologa, określa akt ten w sposób następujący:

Prawdziwe natchnienie artystyczne jest darem wewnętrznego wejrzenia, mocą którego człowiek w chwilach najwyższego zachwytu wznosi się po za obręb małostkowości i nicości bytu codziennego, choćby on był przepełniony najświetniejszemi bogactwami, w sferę idealną, właściwą swoją ojczyznę. A jest to psychologicznie wówczas tylko możliwe, jeżeli człowiek zupełnie jest owładnięty ideą, pozwalającą mu o wszystkiem innem zapomnieć; gdzie tendencya jakaś się wmiesza w ten kulminacyjny moment twórczości artystycznej, tam mowy być nie może o istotnem przejawieniu się ducha twórczego.“

Mimowoli nasuwają się wieszcze słowa Juliusza Słowackiego:

„Jasną jest dla nas rzeczą, że każda odmiana formy, każde wstąpienie ducha z progu niższego na wyższy, otrzymywane było nie przez jednego twora modlitwę, ale przez utęsknione westchnienie ducha, z całego globu boleścią wydobyte...“

To właśnie bolesne a „utęsknione westchnienie ducha“ jest najistotniejszym przejawem ekstazy, analogicznym zupełnie z ową dantejską „bytnością w niebie.“

Bertold Merwin.

*) W falach życia, w wirach czynu
Krążą i wioną
W tę i w tę stronę,
Kolebki, groby
I morza wrzące,
Przemienne doby,
Życia kwitnące,
Ja wszystko to przędę kołowrotem lat,
I Bóstwu dostarczam wiecznie nowych szat.
(Przekład J. Paszkowskiego).

Henryk Siemiradzki.

Bez pretensyi do wyczerpującej oceny talentu Siemiradzkiego, która dopiero po upływie lat kilkunastu wytworzyć się będzie mogła, pragniemy dać czytelnikom ogólną chociaż charakterystykę zmarłego, jako artysty.

Henryk Siemiradzki ukończył petersburską Akademię sztuk pięknych w epoce, poprzedzającej dzisiejszą racyonalną jej organizacyę, a więc w czasach, gdy pedantyczna rutyna i pseudo-klasyczna panowały tam niepodzielnie. Kierunki te wycisnęły wpływ na całej działalności artysty. Niezaprzeczony i wielki talent został tu ujęty w poprawne, ale zimne formy klasyczno-akademickie. Niektóre indywidualności niezależne otrząsły się z nich po kilku lub kilkunastu latach pracy samodzielnej, inne nie były nawet w stanie wytrwać do końca i rzucały Akademię, by poszukać cieplejszych promieni piękna za granicą.

Siemiradzki wytrwał do końca, stawał kolejno do wszystkich obowiązujących konkursów i brał za nie regulaminowe medale. Mylnie niektórzy sprawozdawcy podawali ową liczbę medali akademickich za jakąś nadzwyczajność. Wówczas każdy młodzieniec, chcąc skończyć ze wszystkimi tytułami Akademię petersburską, musiał wszystkie te medale otrzymać, a koroną ich był wielki medal złoty. Nie była to jakaś wyjątkowa nagroda, dawana tylko *jednemu*, najlepszemu z pośród wszystkich. Przeciwnie — złotych medalów dawano co rok tyle, ile było ubiegających się o nie, którzy się wywiązali zadawalająco z warunków konkursowych. To samo było z małymi złotymi, oraz z wielkimi i małymi medalami srebrnymi, które trzeba było zdobywać kolejno, żeby mieć prawo sięgać po coraz wyższe.

Pierwsze prace Siemiradzkiego p. t. „Dyogenes“ i „Jawnogrzesznica“ odrazu scharakteryzowały i przedstawiły go takim, jakim pozostał do końca życia, a mianowicie wytwornym kolorystą i świetnym dekoratorem. Tych przymiotów nikt mu odmówić nie może i one zapewne sprawiły, że Siemiradzkiego przeciwstawiano tak często Matejce, pytając, który z nich większy. Jakże często daje się słyszeć podobne pytanie w stosunku do artystów lub literatów, a jednak jak ono zwykle pozbawione jest zdrowego sensu!

Każdy talent wybitniejszy jest do pewnego stopnia odrębny i samodzielny w swych tworach, a więc różny od wszystkich innych. Jakimże więc sposobem można oceniać porównawczo rzeczy całkiem różne? W porównaniach takich zwycięża najczęściej ten, którego zalety bardziej przypadają do smaku ogółowi sądzących, lub najłatwiej są przez nich zrozumiane.

Siemiradzki, mimo tylu głębokich tematów, jakie brał do swych obrazów, nie był kompozytorem ideowym. Temat nie był dla niego celem głównym, ale pretekstem do nagromadzenia ulubionych motywów malarskich. Niełatwą jest rzeczą odczuć i odgadnąć pobudki artysty, kierujące nim przy tworzeniu dzieła sztuki; zastanówmy się więc przedewszystkiem, jakiemi one bywają najczęściej. Najcharakterystyczniejszymi są dwa kierunki: w jednym idea panuje nad całem dziełem, w drugim staje się niejako pretekstem i idzie na usługi pomysłów czysto malarsko-technicznych.

Jeśli artystę ogarnie jakieś wzruszenie, jeśli „kocha on i cierpi za miliony,“ to uczuwa potrzebę podzielenia się tem wzruszeniem. Mówca wypowie natchnioną mowę, poeta nada swym myślom formę utworu literackiego, a malarz i muzyk wypowiedzą się barwami lub dźwiękami. Wrażenie burzy można równie dobrze wymalować lub wygrać, jak opisać.

Ten rodzaj twórczości jest ideowym, bez względu na to, czy za temat służyć będzie jakiś wielki moment historyczny, czy idea ogólno-ludzka, czy też fenomen przyrody.

Artysta taki, malując palenie żywcem chrześcian, przejęty będzie tem strasznem barbarzyństwem uczuć, odbijającem tem jaskrawiej, że popełniają je ludzie o wysokiej kulturze, a obraz jego będzie na nas wywierał potężne wrażenie grozy. Będzie on tak strasznym, jak straszną była ta chwila w rzeczywistości. Jeśli taki artysta zechce nam pokazać sponiewieraną godność i wolność ludzką, to nam w taki sposób przedstawi sprzedaż niewolnicy, oglądanej niby jakiś przedmiot martwy, że nas ta scena wstrząśnie do głębi nieszczęściem jednych a egoizmem drugich. W kompozycyi takiej będzie nas przedewszystkiem uderzał jej duch. Fakt ten, przedstawiony w formie malarskiej, wstrząśnie nami w podobny sposób, jak gdyby był z talentem i siłą wypowiedziany słowami. Będzie to kompozycya ideowa, różniąca się jednak zasadniczo od tak zwanych kompozycyj „literackich,“ gdzie strona malarska zepchnięta bywa na plan drugi i jest tylko

podrzędnym środkiem do wypowiedzenia jakiejś myśli, a przez to samo przestaje być *samoistnem* dziełem sztuki, stając się jakiemś wypracowaniem dydaktyczno-pedagogicznem.

Można jednak poruszać tematy ideowe, a jednak nie tworzyć obrazów ideowych. Do takich należał Siemiradzki. U niego forma górowała nad treścią. Nie stawiał on na pierwszem miejscu idei, dajmy na to, nadzwyczajnego poświęcenia, niezmiernego przywiązania do wiary, jaką przepełnieni byli pierwsi chrześcianie zgadzający się raczej na śmierć okrutną, niż na wyrzeczenie się tego, co umiłowali. Dlatego wszelkie zachwyty niepowołanych „znawców" nad wstrząsającem wrażeniem wywieranem na nich przez „Pochodnie Nerona," i wmawianie w Sienkiewicza, że bez nich nie napisałby z pewnością *Quo vadis*, są wprost zabawne. Dowodzi to, jak ludzie potrafią wszystko wmówić w siebie i w innych.

„Pochodnie Nerona" są wspaniałem dziełem pierwszorzędnego talentu, dziełem bardzo malarskiem, ale ani męczeństwa, ani samych chrześcian widz na niem nie dostrzega prawie. Gdyby mu pokazano ten obraz bez tytułu, wówczas bez wahania orzekłby, że jest tu przedstawiony dwór jakiegoś potężnego władzcy starożytności, że ten dwór się bawi, hula i że jedynym celem artysty było przedstawienie tego tłumu i tego przepychu. Gdyby się jednak zaczął zastanawiać, dlaczego ten tłum się zgromadził, spostrzegłby na skraju obrazu owe słupy z przywiązanymi ludźmi, zamiast nich jednak mógłby tu być równie dobrze brzeg areny ze ścigającymi się rydwanami, lub inne jakie widowisko. Tymczasem w obrazie ideowym takie zmiany byłyby wprost niemożliwe. Chrześcianie i palenie ich żywcem stanowiłoby tu duszę obrazu, reszta byłaby rzeczą dodatkową.

W obrazie „Wazon czy kobieta" mamy to samo. Ideowość akcyi nie istnieje. Podziwiamy doskonałe malowanie ciała nagiego, wykwintne wykończenie całego otoczenia, ale tragizmu, któryby *nas* wstrząsnął tu nie ma. Podkreślam słowo „nas," gdyż niektórzy „znawcy" zapędzili się w pochwałach tak daleko, że i tę bierność, bijącą z obrazów Siemiradzkiego w momentach najdramatyczniejszych, chcą mu poczytać za wysoką zasługę i uciekają się do następującego sofizmatu: świat rzymski, jaki przedstawia Siemiradzki, był przytępiony wyuzdaniem i obojętny na wszystko. Dlatego artysta, oddając tę martwotę i bierność, nie popełniał błędu, ale przeciwnie dał dowody, jak znakomicie potrafił wniknąć w ducha epoki.

Ale przedewszystkiem *sam* artysta jest dzieckiem pewnej epoki! Gdyby takie tematy poruszał współczesny Neronowi Rzymianin, toby je pewnie przedstawiał w oświetleniu *własnem*, i chrześcian widzielibyśmy, jako wyrzutków społeczeństwa, których tępić należy. Artysta XIX wieku i kultury chrześciańskiej, tworząc obraz, daje też wyraz swoim własnym uczuciom i poglądom. Artysta więc może tych Rzymian o uczuciach przytępionych tak przedstawiać, takimi kontrastami otaczać, że obraz mimo ich (zgodnej z prawdopodobieństwem) obojętności, będzie, jedynie dzięki wrażliwości autora, robił na nas wstrząsające wrażenie wielkiej chwili dramatycznej. Że Siemiradzki nie silił się umyślnie na tę martwotę, lecz tylko niezawsze był w stanie z niej się otrząsnąć, tego najlepszym dowodem mogą być choćby „Skały Tyberyusza na Capri," gdzie ciżba pijanych natrafia niespodzianie na martwe ciała prawdopodobnie swych niedawnych współbiesiadników. Ci, co jeszcze nie spostrzegli trupa, bawią się hałaśliwie, a inni już osłupieli z przerażenia na widok nowej ofiary tyrana. Gdzież tu owo zachwalane przez krytyków a „wypływające z ducha epoki" zobojętnienie?

Ludzie zawsze są ludźmi i instynkty pozostają te same, bez względu na epokę. Każda natura krwiożercza lub oswojona z rozlewem krwi i cierpieniami, będzie się zachowywała obojętnie na widok cierpień, jakie zadaje innym. Wszystko jedno, czy to będzie pachołek Nerona, podkładający ogień pod słupy z chrześcianami, czy mnich ze „Świętej Inkwizycyi," przypiekający żelazem w imię Tego, który kazał miłować nawet nieprzyjacioły swoje. Lecz ani obraz, przedstawiający taką scenę, ani utwór, który ją opisuje, nie oddadzą jej biernie, ale odtworzą tak, że nawet najmniej przygotowany widz będzie mógł odczuć całą zbrodnię i krzywdę popełnioną. Chyba, że autorem opisu lub obrazu byłby nie artysta, ale suchy kronikarz lub fotograf.

Siemiradzki „fotografem" biernym nie był, był tylko mniej wrażliwy na treść i ducha kompozycyi, a więcej na to bogactwo barw, jakie przy tej sposobności mógł roztoczyć. Dla niego istniały przedewszystkiem promyki słońca, przedzierające się przez zieleń, chłodny marmur, mchem pokryty, przepyszny granat odległej toni morskiej lub harmonijne kształty ciał nagich.

Dlatego w obrazach, których treść nie potrącała o tragizm, ale miała na celu powszedniejsze wypadki życia starożytnego, jak np. „Elegia," „Rozbitek," „Taniec śród mieczów," „Fryne" itp., kompozycya nierównie lepiej harmonizowała z treścią, i widz nie odbierał wrażenia czegoś niedopowiedzianego. Siemiradzki w pracach takich należał do wirtuozów pędzla, umiejących rozwinąć wszystkie czary i efekty barwne, zaklęte w palecie.

Jeśli już koniecznie szukać jakichś porównań i podobieństw, to w upodobaniach swoich artysta nasz zbliża się do Hansa Makarta, ten ostatni jednak swym symfoniom barwnym nadawał potężniejsze i wyłączniejsze piętno. Był on kolorystą i wirtuozem barw, wielbicielem harmonii, o resztę nie dbał. Siemiradzkiego tymczasem niepokoiła owa ideowość, nadając wielu jego pracom cechę pewnej połowiczności. Ideę poświęcał dla względów malarskich, a porywy malarskie usiłował naginać do idei. Makart przytem miał szalony temperament, który go parł nieubłaganie w pewnym określonym kierunku, spokój zaś pogodny Siemiradzkiego rozlewał na wszystkich jego dziełach jakąś neutralność i bierność.

Gdyby Siemiradzki poszedł był wyłącznie za wrodzonym popędem i zamiłowaniem, to by nam był zostawił dzieła jeszcze wspanialsze, pełne wdzięku i dekoracyjnej świetności. Naginanie się jednak do pewnych upodobań i poglądów, panujących w danym okresie w społeczeństwie, pchało niejednego artystę, wbrew jego usposobieniom i zdolnościom, do pracy w kierunku niezgodnym z rodzajem jego talentu. Wieluż dziś sili się nagwałt na symbolizowanie jakichś oderwanych idei, których nie odczuwają, wieluż dawniej nie czuło się dopóty godnymi tytułu artysty, dopóki nie namalowali choć jednego obrazu historycznego! Silić się na wmawianie w siebie i w innych, że usterki, jakie każde dzieło ludzkie posiadać musi, są właśnie w pracach Siemiradzkiego największemi ich zaletami, byłoby to ubliżeniem dla poważnego krytyka, a przedewszystkiem dla samego talentu zmarłego artysty. Do środków takich uciekać się trzeba, gdy nic prawdziwie dobrego niema do powiedzenia. Pozostawiając więc na boku panegiryki, możemy na zakończenie określić talent Siemiradzkiego w tych słowach: był on doskonałym znawcą świata starożytnego, odtwarzał go z dużą poezyą i spokojem filozoficznym, o ile tworzył obrazki z życia; gdy jednak chodziło o chwile wstrząsające lub choćby tylko dramatyczne, to zwykle tak samo nie dostrajał się do najwyższego napięcia grozy, jak i nie zapadał w łatwą i częstą w takich razach pospolitość lub trywialność.

Szlachetna i wytworna poprawność cechowały jego prace, a technicznie rzecz biorąc, ze stanowiska czysto malarskiego, Siemiradzki umiał wybornie gromadzić w grupy postacie nawet na największych swoich obrazach i rozkładał je umiejętnie, jako barwne i harmonijne plamy. Co się zaś tyczy włoskiego krajobrazu słonecznego, morza i bogatych akcesoryów, to był ich wykonawcą znakomitym.

Sierp.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Ministeryum spraw wewnętrznych zamierza przyłączyć do magistratu warszawską radę miejską dobroczynności publicznej, jako instytucyę, należącą wyłącznie do zarządu miejskiego.

— W *Odessk. Now.* czytamy: „Odeski sąd wojenny, na sesyi objazdowej w Rostowie, rozpoznawał sprawę mieszczan Iwanowa, Wojczenki i Chadżejewa, oskarżonych o zamordowanie policyanta, i skazał ich na karę śmierci przez powieszenie. Skazani podali na Imię Najwyższe prośbę o ułaskawienie, na którą nadeszła odpowiedź, czyniąca je zależnem od uznania głównego atamana wojska dońskiego. Ponieważ ten ostatni nie uznał za możliwe złagodzić kary, przeto wyrok został wykonany."

— Naczelnik władykaukaskiego okręgu pocztowego ogłosił w urzędowym organie obwodu terskiego, iż wszelkie pocztówki, adresowane szczególnie do pań i panien, a zawierające treść ubliżającą ich czci, oraz pocztówki ilustrowane charakteru nieprzyzwoitego i cynicznego są zatrzymywane i po złożeniu ich w zarządzie okręgu podlegają niezwłocznemu zniszczeniu.

Szkoły i wychowanie. Programy szkół technicznych kolejowych mają być zmienione w ten sposób, ażeby oddziały specyalne odpowiadały wydziałom służbowym.

— Ministeryum oświaty zezwoliło Żydom wstępować na kursy farmaceutyczne przy wydziałach medycznych uniwersytetów, dla uzyskania stopnia prowizora, w następującym stosunku procentowym do ogólnej liczby słuchaczów: w uniwersytecie moskiewskim 6%, w kijowskim, noworosyjskim, charkowskim i warszawskim 12%, w kazańskim, jurjewskim i tomskim 15%.

— Zmieniono przepisy o dopuszczaniu cudzoziemców do politechniki berlińskiej. Poddani rosyjscy mogą być przyjmowani do niej jedynie po okazaniu gimnazyalnego świadectwa dojrzałości, oraz po ukończeniu studyów w politechnice rosyjskiej lub po okazaniu świadectwa o przyjęciu do niej kandydata.

— Towarzystwo techników polskich, „Vistula" w Mitweidzie, udziela objaśnień kandydatom, zamierzającym wstąpić do tamtejszego zakładu naukowego.

— Komitet przygotowawczy międzynarodowego kongresu studentów, który miał się zebrać w końcu września w Budapeszcie, zawiadamia, że zjazd nie odbędzie się, ponieważ pewna część uczestników objawiła zamiar poddania spraw narodowych pod dyskusyę kongresu.

Z Poznańskiego. Przed sądem ławniczym w Bochum stawało kilkunastu Polaków z Riemke, oskarżonych o to, że podczas „święconego" nie opuścili sali na wezwanie policyi. Sąd nie uznał winy podsądnych i wszystkich uwolnił; koszty zaś sądowe nałożył na kasę państwową.

— *Górnoślązak* donosi, że z rozkazu prokuratora bytomskiego odbywają się rewizye w mieszkaniach Górnoślązaków. Komisarz graniczny szuka jakichś książek zakazanych. W Małej Dąbrówce z biblioteki „Sokoła" zabrano kalendarz „Opolanin," który wyszedł nakładem *Gazety Opolskiej*, i broszurkę p. t. „Obrazki historyczne."

— *Germania* ogłasza, że naczelny prezes W. Ks. Poznańskiego w okólniku do landratów oświadcza, że pragnie poznać zachowanie się polityczne księży

katolickich prowincyi poznańskiej z ostatnich lat 20 do 30, a mianowicie: jaki udział brali w ruchu narodowym polskim i w dążnościach wrogich państwu; czy duchowieństwo popiera prasę polską i o ile się przyczyniło do spolonizowania katolików-Niemców. Landraci mają te zapytania dokładnie poprzeć dowodami i stwierdzić, czy i kiedy władza duchowna wystąpiła przeciwko księżom-polonizatorom.

Zdrowie publiczne. Najwyżej zatwierdzona komisya przeciwdżumowa ogłasza w *Prawit. Wiest.* następujące szczegóły o grożącej epidemii: „W Odesie ujawniają się w dalszym ciągu nowe wypadki zasłabnięć, podejrzanych o dżumę. Od dnia 11 do 20 sierpnia (24 sierpnia do 2 września) zachorowało znowu 11 osób, z których umarły 2; ogółem od d. 28 maja (10 czerwca) było 21 zasłabnięć z 5 wynikami śmiertelnymi. Z uwagi na powtórne przybycie chorych z jednych i tych samych domów, uznano za konieczne poddać je dezynfekcyi ponownej, skrupulatnej i możliwie zupełnej. Do udziału w obmyśleniu środków zaradczych przeciw zarazie delegowano do Odesy bakteryologa, profesora Wysokowicza. Prócz tego, wobec odkrycia w kolonii Hildendorfie, pow. Odeskim, jednego chorego, z pewnych objawów budzącego obawy co do zasłabnięcia na dżumę, polecono gubernatorowi chersońskiemu powołać do życia komisyę gubernialną sanitarno-wykonawczą, oraz komisye powiatowe w pow. Odeskim i przyległych.“

Ruch kobiecy. „Belgijska liga obrony praw kobiety,“ z powodu dziesięciolecia swego istnienia, urządza w miesiącu bieżącym międzynarodowy kongres kobiecy, na który zaproszone zostały przewodniczące i sekretarki stowarzyszeń belgijskich i zagranicznych.

Ze sztuki. Z powodu nadesłania małej liczby i niedostatecznej wartości artystycznej prac konkursowych na afisz dla wystawy okrężnej, ogłoszony przez wydział „Stowarzyszenia artystów polskich“ w Krakowie, przedłużono termin konkursu do dnia 29 b. m.

Koleje i komunikacye. Zarząd kolei Moskiewsko-Kijowsko-Woronowskiej zawiadamia, że chwilowo nie bierze odpowiedzialności za dostawę terminową towarów nietylko do stacyi, na tej kolei położonych, ale i innych w związku z nią będących, dla towarów idących transito.

— Ministeryum komunikacyj zamierza powiększyć szybkość pociągów na kolejach, łączących Moskwę z Europą zachodnią.

Katastrofy. Czynny wciąż od pierwszego wybuchu wulkan Mont-Pelé, na Martynice, d. 30 z. m. spowodował nową większych rozmiarów katastrofę. Dnia tego o godzinie 8-ej wieczorem nastąpił wybuch straszny, który zniszczył zupełnie osady Morne-Rouge i Ajoup-Bouillon, przyczem straciło życie około tysiąca osób, a setki odniosło rany. Rząd francuski, przewidując, że wyspa ulegnie zupełnemu zniszczeniu, postanowił ludność jej przenieść na inne, bezpieczniejsze lądy.

Zmarli. Hieronim Derdowski, literat kaszubski, redaktor wychodzącego w Ameryce *Wiarusa*. Zmarł w Vinona, w st. Minnesota.

— Emeryk Steidel, budowniczy, profesor politechniki wiedeńskiej, twórca nowego gmachu parlamentu austryackiego.

Odpowiedzi Redakcyi.

Długoletniej prenumeratorce. W tej sprawie chyba tylko w zarządzie Tow. hygienicznego (Krak. Przedm, nr. 66) jakieś objaśnienie dać będą mogli. Tam się nią zajmowano czas jakiś, ale zdaje się bez rezultatu.

Ananke. „Prześnity dzień“ nie zasługuje na miano poezyi.

Pani Ob. Dlaczego redakcya *Kuryera* nie uwzględniła życzenia Sz. Pani, redakcya *Prawdy* w żaden sposób odpowiedzieć nie może. Sądzimy, że tego rodzaju polemizowanie z *Kuryerkami* jest zupełnie bezcelowe.

Panu M. Życkiemu w Grodnie. Żądanych numerów *Prawdy* nie posiadamy.

Redaktor i Wydawca **A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою, Варшава 29 Августа 1902 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.